



Fot. I. Wojtkiewicz

CAŁY NUMER DO CZYTANIA

**NA GŁOWIE
ZE SMAKIEM**
Rzecz
o słupskiej
gastronomii

**PAMIĘTNIK
GLOBTROTERA**
**KOBRA
STRACIŁA JAD**

**OBCOKRAJOWCY
W POLSKIM
RUCHU
OPORU**

Listy
miłosne

**KOCI
& PAZUR** Ziemowit
Samozyciek
Nowa powieść w odcinkach

ROK ZAŁOŻENIA 1933

W A M E N A

LUBLIN 23 II 1975 Nr 4 (568)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

CENA 3 ZŁ

LUBELSKI WĘGIEL

Dlaczego nie będzie tradycyjnych kopalni?

LUBELSKIE Zagłębie Węglowe staje się już rzeczywistością. Około 40 miliardów ton węgla kamiennego czeka na rozpoczęcie wydobywania. W dotychczasowych informacjach prasowych często powtarzają się takie pojęcia jak: nowoczesność, kopalnia pilotująca, zespoły produkcyjne itp. Co one oznaczają w praktyce? Jak będzie wyglądało wydobywanie i organizacja pracy w LZW? Na te i inne pytania odpowiada generalny projektant Lubelskiego Zagłębia Węglowego, a obecnie jego dyrektor techniczny — mgr inż. Zdzisław Marczak.

— Znakomity geolog prof. Jan Samsonowicz już w 1932 roku opublikował pracę pt. „O przypuszczalnym występowaniu karbonu w zachodniej części Wołynia”, tworząc teoretyczne podstawy do odkrycia — jak to nazwał — Nadbużańskiego Zagłębia Węglowego. Co się potem działo?

— Przed wojną nic, żadnych wierzeń nie przeprowadzono. Udokumentowanie węgla na Lubelszczyźnie zawdzięczamy Oddziałowi Instytutu Geologicznego w Sosnowcu, a konkretnie grupie ludzi pracujących pod kierunkiem doc. Aleksandra Jachowicza, którego zespół za to właśnie otrzymał

**ROZMOWA Z GENERALNYM PROJEKTANTEM
I DYREKTOREM TECHNICZNYM
LUBELSKIEGO ZAGŁĘBIA WĘGLOWEGO
MGR. INŻ. ZDZISŁAWEM MARCZAKIEM**

Nagrodę Państwową. W 1972 roku w Głównym Biurze Studiów i Projektów Górniczych w Katowicach powstała tzw. pracownia lubelska, która zajęła się opracowaniem koncepcji kompleksowego zagospodarowania górniczego całego Zagłębia Lubelskiego. W Polsce potrafimy od bardzo dawna dobrze projektować kopalnie w już istniejących zagłębiach. Ale tam są to obszary górnicze stanowiące enklawy w zagospodarowanych terenach, a rozpoznanie złoża i towarzyszących mu warunków nie przedstawia żadnych trudności. Natomiast jeżeli chodzi o Zagłębie Lubelskie — nie ma podobnego w Polsce.

— Na czym polegają te różnice, np. w porównaniu z Zagłębiem Górnośląskim?

— I tu i tam występują węgle karbońskie, natomiast nadkład jest diametralnie różny. Na Lubelszczyźnie występuje warstwa jury i kredy grubości kilkuset metrów, czego tam nie ma. Nie wiemy dokładnie, jak te skały będą się zachowywały w czasie głębienia szybów, podobnie jak skały karbońskie, które w bezpośrednim sąsiedztwie węgla lubelskiego są mułowcami, a więc skalami podobnymi do piaskowca, ale z drobniejszymi ziarnami. Czy będą one kumulowały naprężenia i potem powodowały tzw. tąpnięcia?

Górnictwo dziewiczy teren Lubelszczyzny, słabo przecież zurbanizowany, z rzadką w tym rejonie siecią dróg i linii kolejowych daje projektantowi czystą kartę, co stwarza bardzo duże możliwości. Na Górnym Śląsku projektant jest z góry ograniczony już istniejącą zabudową, czynnymi liniami kolejowymi, całą infrastrukturą. Tutaj, na Lubelszczyźnie, myśl projektanta może swobodnie rodzić różne pomysły.

— Kopalnie lubelskie mają być w pełni nowoczesne, projektowane już na rok dwutysięczny i lata późniejsze. Jaki więc będzie ich kształt, jak będą funkcjonowały?

— Każda kopalnia w Górnośląskim czy Dolnośląskim Okręgu Węglowym jest jednostką samowystarczalną. Stanowi ona konglomerat różnych funkcji — od wydobywczej począwszy, poprzez zakład przerobczy (sortownię) i ekspedycję węgla w świat, do gospo-

Dokończenie na str. 4-5

Bogdanka (okolice Łęcznej, woj. lubelskie); tu będzie węgiel Fot. J. Polski



Przed Zjazdem Literatów

PRZED Zjazdem Literatów „Życie Literackie” (nr z 16 lutego) opublikowało dyskusję redakcyjną, w której uczestniczyli: Tadeusz Hołuj, Władysław Machajek, Włodzimierz Maciąg i Jan Pieszczakowicz. Oto fragmenty kilku wypowiedzi:

HOLUJ: Wydaje mi się bardzo znamienne, że przed Zjazdem Związku Literatów Polskich o tym zjeździe się nie pisało. I to chyba nie dlatego, że nie ma co pisać, albo nie ma przedmiotów dyskusji, tylko że wynika to, o czym wspominał Machajek, z pewnej niechęci do zajmowania się problemami ideowo-artystycznymi. Oczywiście, zdajemy sobie sprawę, że Związek Literatów jako organizacja społeczna nie pisze literatury, ale wiemy też dobrze wszyscy, że od dość długiego czasu w Związku nie dzieje się niemal nic, co by tę literaturę tworzyć pomagało. [...] Obecny zjazd przypada na okres obchodów Trzydziestolecia PRL, ale jakoś nie słychać o tym, żeby na zjeździe próbowano dać analizę, jeśli już nie Trzydziestolecia, to przynajmniej własnie lat pogrudniowych i zastanowić się, czy w obrazie polskiej literatury współczesnej zachodzą jakieś zmiany i jakie.

MACIĄG: Ja bym na przykład chciał, żeby na zjeździe był referat, który podejmie merytoryczną ocenę literatury i dorobku literackiego za ostatni okres. Zwracam uwagę, że zjazd w Lublinie, przeszedł dziesięć lat temu, był ostatnim zjazdem, który dał próbę oceny dorobku literatury z perspektywy wówczas lat dwudziestu. Wszystkie późniejsze zjazdy były tylko zjazdami sprawozdawczymi, mówiły o działalności zarządu, a nie mówiły o dorobku literatury. A teraz byłby właśnie moment sprzyjający podjęciu pytania: co się zmieniło w Związku Literatów Polskich „po grudniu”, jak wygląda ten okres z punktu widzenia dorobku literatury.

PIESZCZAKOWICZ: Obserwujemy w naszym życiu literackim postępujący proces tworzenia się enklaw literackich „kultury zamkniętej”. Dotyczy to rozmaitych grup, o różnych orientacjach światopoglądowych. Tego typu proces powoduje, że wyostrowa się nawet pozornie konflikty, natomiast na płaszczyźnie obywatelskiej, która jest niewątpliwie istotna dla życia społecznego i kultury, nie znajduje się porozumienia. [...] Posadam wielu kolegów literatów, w tym również niektórych krytyków, że w ogóle nad sobą nie pracują, że w ośrodku niczego nie czytają, oprócz książek własnych i może najbliższych kolegów, żeby im pozazdrościć, albo poklepać po łopacie.

Dyskusja „Życia” zasygnalizowała pewne problemy. Należy oczekiwać, że powinny one również znaleźć swoje odzwierciedlenie w czasie obrad zjazdowych. Dla dobra całej literatury polskiej.

KRÓTKO ZE ŚWIATA

W drugiej turze wyborów przywódcy brytyjskiej partii konserwatywnej bezapelacyjne zwycięstwo (146 głosów na 276) odniosła Margaret Thatcher.

Urodzona w 1925 roku w Grantham, Margaret Thatcher jest córką sklepiarkarza. Otrzymała staranne wykształcenie, uzyskując dyplom ukończenia wydziałów chemii i prawa uniwersytetu w Oxfordzie. W 1959 r. uzyskała mandat do Izby Gmin. Była członkiem rządu premiera Heatha w latach 1970-1974, pełniąc funkcję ministra oświaty. Na tym stanowisku krytykowano ją za odebranie bezpłatnego mleka dla dzieci w szkołach. Uważana jest za reprezentantkę prawicowego skrzydła partii konserwatywnej. W niektórych kołach labourzystowskich jej wybór na przywódcę konserwatystów powitano z zadowoleniem: wyraża się opinię, że nie zagrozi ona pozycji labourzystów.

Paryski dziennik „Aurore” opublikował wyniki sondażu przeprowadzonego na początku bieżącego miesiąca przez Instytut Badania Opinii Publicznej „Publimentre” wśród 1030 potencjalnych wyborców. Wyniki ankiety wykazują, że 57 proc. potencjalnych wyborców jest zadowolonych z polityki prezydenta Valery'ego Giscard d'Estaing, podczas gdy w grudniu ub. r. zadowolonych było tylko 45 proc. 59 proc. ankietowanych jest gotowych zaufać mu w przyszłości, co dowodzi, że szef państwa francuskiego osiągnął obecnie największą popularność od czasu wyborów prezydenckich w maju 1974 r. Wzrost popularności prezydenta jest szczególnie widoczny wśród kobiet. O ile w grudniu ub. r. zadowolonych

z jego polityki było 49 proc. kobiet, o tyle obecnie — 66 proc. Jest to zapewne rezultat uchwalenia w grudniu ub. r. liberalnej ustawy o przerywaniu ciąży oraz podjęcia przez rząd szeregu istotnych akcji dla zmniejszenia różnic w uprawnieniach i zarobkach między mężczyznami a kobietami.

Narodowa Akademia Nauk w USA opublikowała rezultaty prowadzonych w ciągu ostatnich trzech lat badań geologicznych. Raport stwierdza, że zasoby ropy i gazu przy obecnym poziomie wydobycia wystarczą najwyżej na okres najbliższych 25 lat, a nie, jak sądzono, na 40 lub 60. Oczekuje się, że raport Akademii Nauk zwiększy zainteresowanie Stanów Zjednoczonych zarówno Bliskim Wschodem, jak i wszystkimi obszarami o dużym potencjale surowcowym.

„International Herald Tribune” zamieścił artykuł pióra R. W. Apple, w którym autor zastanawia się, czy trzej demokratyczni senatorzy — Hubert Humphrey, Edmund Muskie i George McGovern będą się starali o nominację na prezydenckiego kandydata z ramienia swojej partii, czy też nie. „Wszyscy trzej — stwierdza Apple — mają apetyt na Biały Dom i pokazują to”. I tak np. Muskie powiedział: „Ciagle mam jeszcze na to ochotę, choć chciałbym jej nie mieć, bo to doprowadza do kłopotów. Ale mam”. Natomiast Humphrey oświadczył: „Mógłbym się ubiegać — z politycznego, fizycznego i emocjonalnego punktu widzenia”. A oto zdanie McGoverna: „Z bardzo wielu stron naciskają na mnie, abym się ubiegał. Otrzymuję obecnie

prawdopodobnie więcej listów z wyrazami miłości niż kiedykolwiek przedtem”.

Nowość w handlu radzieckim: pracownicy przemysłu za ladą sklepową. Pisze na ten temat dziennik „Socjalistyczna Industrija”. „W salach handlowych sklepów, sprzedających odzież i obuwie — stwierdza autor artykułu — można dziś przeczytać takie oto ogłoszenie: — W naszym sklepie dyżuruje przedstawiciel fabryki. Udziel on państwu kompetentnych rad na temat towaru i wysłucha uwag państwa o jakości wyrobów.

Pracownicy przemysłu, zajmując miejsce za ladą sklepową, nie występują bynajmniej w roli pomocników handlu. Interesuje ich nie to, jak sprzedać, lecz co wytwarzać.

Czechosłowacja co roku więcej sprzedaje licencji za granicę aniżeli ich zakupuje. Największym odbiorcą czechosłowackich patentów są Stany Zjednoczone, Japonia, RFN i NRD. Największy rozgłos zdobyła czechosłowacka licencja, umożliwiająca produkcję miękkich optycznych soczewek kontaktowych z masy hydrofilowej.

Mimo że w Jugosławii niezmierznie rzadko można spotkać na ulicy pijanych, problem nadużywania napojów alkoholowych staje się coraz poważniejszy. Zdaniem wielu tutejszych lekarzy łatwiej wpaść w nałóg przy tzw. południowym systemie picia kilka razy w ciągu dnia szklaneczki wina, czy innych małoprocentowych napojów, co w klimacie jugosłowiańskim praktykuje się przez kilka ciepłych miesięcy w roku.

Według oficjalnych danych, obecnie w Jugosławii jest zanotowanych ponad 90 tysięcy nałogowych alkoholików wymagających dłuższego leczenia. Przeszkodą stanowi brak łóżek w szpitalach.

GARMONDEM

RAZEM z zagłębieniem węglowym pojawia się na Lubelszczyźnie ciekawy rodzaj myślenia, który można nazwać równoległym. Chodzi o to, że równoległe myśli się o różnych, nawet pozornie trzeciorzędnych, elementach wielkiej sprawy. Oto w lutym powołano Archeologiczny Ośrodek Badawczo-Konserwatorski, który będzie prowadził prace badawcze i konserwatorskie na terenie zagłębia i opiniował projekty inwestycyjne prac ziemnych. Ośrodek współdziała m. in. z dyrekcją i projektantami zagłębia, pod względem naukowym podlega UMCS, a konserwatorskim — Woj. Kons. Zabytków. Jego działalnością kieruje doc. dr J. Gurba, kier. Zakładu Archeologii Pol. UMCS. Jesteśmy przekonani, że ujawnił się nie tyle tzw. dobry pomysł, co reguła postępowania.

LJK

*

STANISŁAW Harasimiuk już na łamach trzeciego pisma („Sztandar Ludu”, „Życie Literackie”, „Tygodnik Kulturalny”) zajmuje się problemem skandalicznych nadużyć na punktach skupu buraków. Sądzę, że redakcje drukują jego reportaże nie tylko dlatego, że są one — jak to się mówi — do czytania. Po prostu Harasimiuk publicznie ujawnił draństwo i złodziejstwo, wobec których nie można przejść obojętnie. Opinia publiczna rada by wiedzieć, jakie środki podejmą najwyższe „władze cukrownicze”, aby ukrócić te wielkie kanty. Prokuratura oskarża, sądy skazują, sprawiedliwości staje się zadość. Ale co będzie po następnej kampanii? Czy nadal ostatnie słowo będzie musiało należeć do Temidy?

MAJ

ZWANO ją kraińca złota na skraju łączy i oknem w przyszłość. Tu miasta wyrastały w parę miesięcy, a nie przez wiele lat, jak gdzie indziej. Tu odkryto pluton do zbudowania pierwszej bomby atomowej i tu narodziły się takie prądy i zjawiska, jak ochrona środowiska naturalnego i kult szatana, rewolta studencka i moda na narkotyki, Hollywood i „Jesus people”. A jaka jest Kalifornia dziś? W kostnicy dr. Noguchiego leży stale 200 ciał — dawna kraińca złota ma dziś największą liczbę morderstw i największy procent bezrobocia w całej Ameryce. Co siódmy Kalifornijczyk korzysta z pomocy społecznej, trzy czwarte mieszkańców liczy się z możliwością katastrofy gospodarczej... — Takim wstępem opatrzył zachodniemiecki „Stern” reportaż Klausa Liedtke pt. „Kalifornia — koniec snu”.

„Wariaci są wszędzie — stwierdza m. in. autor — ale nigdzie na kuli ziemskiej nie ma ich tylu — i nie są tak zwariowani — jak w Kalifornii. Istnieje tam np. organizacja, która zwróciła się niedawno do zarządu miejskiego Los Angeles z wnioskiem, by po najbliższym trzęsieniu ziemi zezwolono jej na ratowanie dzieł sztuki z dymiących ruin i zgłiszcz tego milionowego miasta...”

„Kalifornia, ojczyzna myszki Miki, Tarzana i Nixona, ma wszystkiego więcej niż reszta świata: więcej wariatów i bogaczy, inteligentnych umysłów i kryminalistów, pięknych krajobrazów i absurdów, słońca, piasku, seksu...”

„W 1840 roku pionier Johann August Sutter pisał do swojej rodziny, którą pozostawił w Szwajcarii: „Ludzie mogą uczynić to miejsce rajem”. Kalifornia leżała wówczas odległym, na terytorium

Tu wszystkich swędzą palce

prawie dwukrotnie większym od terytorium dzisiejszej Republiki Federalnej Niemiec mieszkało niecałe 10 tysięcy osadników.

Raju z niego nie stworzono. Betonowe zbroca, stalowe budowle, warstwy smogu dominują nad złocistymi plażami...”

„Zaden inny stan USA nie ma ani przeszłości, ani teraźniejszości tak pełnej przemocy i gwałtu, jak Kalifornia. Gdy w 1848 roku odkryto złoto nad rzeką American, Kalifornia zaczęła rosnąć tak szybko — od 14 tysięcy mieszkańców do ćwierci miliona w ciągu zaledwie czterech lat — że stanowy wymiar sprawiedliwości nie mógł nadążyć. Prawo zawsze było po stronie tych, którzy potrafili szybciej wyciągnąć broń i mocniej uderzyć. W ciągu pierwszych pięciu lat gorączki złota gwałtowną śmiercią zmarło 16 400 Kalifornijczyków.”

„Radykalnie rozwiązano tu problem indiański: spośród stu tysięcy czerwonoskórych w momencie przybycia pierwszych poszukiwaczy złota, następnego dnia dziesięciolecie przeżyło tylko trzydzieści tysięcy. Chrześcijańscy misjonarze określili ich jako „gatunek małp” i zezwolili na swobodny ostrzał. Sami Indianie zaczęli w końcu zabijać swe niemowlęta, by oszczędzić im życia wśród białych.”

„Kalifornijczycy obchodzili się bez pardonu również z innymi mniejszościami. Masakrowali Chłóczyków, czynili niewolników z meksykańskich robotników rolnych, którzy przekraczali granicę, by tu — w „ziemi obiecanej” — zarobić parę dolarów.”

„Bert Lane, student uniwersytetu Berkeley, mówi: — Po pierwsze — ten kraj został podbity za pomocą broni. Po drugie — w naszej historii nigdy nie było okresu, kiedy uważano by broń za coś złego. Po trzecie — w telewizji masz morderstwa przez 24 godziny na dobę. Po czwarte — na każdym rogu możesz kupić rewolwer. Tu wszystkich swędzą palce...”

GEOGRAF

W TYM profesorskim gabinecie wszystko jest na swoim miejscu, dostępu do wierszki nie zagrażają barykady książek, mały stolik posiada wszystkie nogi, nie chwije się, encyklopedie polskie i zagraniczne stoją posłusznie i czytelnie na regałach. Porządek panuje na biurku, telewizor ułożono zgodnie z funkcją przedmiotu. Profesor dr hab. Jan Ernst nosi ciemną tweedową marynarkę, szare miękkie spodnie, jasna koszula zwraca uwagę aktualnym krojem kołnierzyka. Papierosy pali się tu aromatyczne i mocne. W tym gabinecie można pracować naukowo, przyjmować zaprzyjaźnionych ludzi, posłuchać koncertu z adapteru stereo, który dyskretnie nakryto futerałem. Ten pokój jest skromną, demokratyczną miniaturą pomieszczeń, które niegdyś urządzali ludzie zwani uczonymi, lecz uczestniczący w rautach, wernisażach, koncertach galowych, komitetach honorowych, grający w tenisa i w wista. Niewielu z nich dochowało się do naszych czasów, które nad tenisa przedkładają boks i piłkę nożną, a wielostronność indywidualnych zainteresowań i humanistyczny wymiar widzenia świata mimochodem, choć brutalnie redukują do wielkiej wiary w małe specjalizacje.

Profesor Jan Ernst nosi się z dyskretną elegancją, a kieruje Zakładem Geografii Ekonomicznej UMCS. Porusza się zatem wśród problemów niejako codziennych, konkretnych, związanych z trywialnym życiem. Od ponad 40 lat bada krajobraz przetworzony przez człowieka, koncentrując się przede wszystkim na geografii rolnictwa. Magisterium uzyskał w 1932 r. na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie za pracę „Podział Polski na regiony geograficzno-rolnicze”, w doktoracie z 1937 roku rozwarstwił „Niekóre zagadnienia z geografii rolniczej Podola”, obecnie nadal interesuje się sprawami z tego zakresu. Jego wiernym młodzieńcym fascynacjom i wyborom ujawnia się zresztą także w innej sferze. Otóż kiedyś, na przełomie lat dwudziestych i trzydziestych, poza uniwersytetem uczęszczał również do konserwatorium, a rezultaty owego zbliżenia się do muzyki okazały się tyle ciekawe, co skomplikowane. Coś na ten temat mogłoby np. powiedzieć współpracownicy profesora, których tenże wodzi po operach i filmach, harmoniach, wykorzystując przerwy w konferencjach naukowych, organizowanych w różnych miastach kraju.

Solidna kinderstuba, którą otrzymał przed laty, obejmowała całe pokolenia i trudno dziwić się, że kiedyś naukowcy stanowili trzon publiczności teatralnej, mecenasowali sztuce, odróżniali Szymanowskiego od kolegi Szymanowskiego co dzisiaj raczej rzadkie, choć nie pozbawione pewnego uroku.

Profesor Ernst kieruje Zakładem Geografii Ekonomicznej, w którym pracuje pięciu adiunktów, dwóch starszych asystentów i sześciu asystentów oraz doktorantka z Demokratycznej Republiki Wietnamu, osoba bardzo skupiona w sobie, skromna i strasznie chętna do roboty. Zainteresowania tego zespołu obejmują wszystkie działy geografii ekonomicznej: geografii rolnictwa (w pierwszym rzędzie) oraz przemysłu, osadnictwa, transportu i komunikacji. Problemy rolnictwa rozpatrywane są w kontekście Lubelszczyzny, kraju, Europy i świata, przy wykorzystaniu bogatych materiałów FAO, zgromadzonych na III piętrze gmachu przy ul. Akademickiej, który lat temu 10 był bardzo nowoczesny i funkcjonalny. Tamże wykonano np. regionalizację województwa lubelskiego pod kątem zasiewów, kilkakrotnie opracowano podział Polski na regiony geograficzno-rolnicze na podstawie struktury zasiewów, użytkowania ziemi, charakterystyki hodowli. Zatem geografia ekonomiczna to nauka ważna, aktualna i ciekawa, inaczej mówiąc — pożyteczna społecznie i z oczywistych względów znajdująca się w trakcie intensywnego rozwoju. Dodatkowym potwierdzeniem tej opinii niech będzie przypomnienie, że właśnie w jednym z pokoiów zakładu dr L. Barwińska przygotowuje ocenę bazy ludnościowej Lubelszczyzny dla potrzeb zagłębia węglowego. Ten pokój mierzy kilkanaście metrów kwadratowych, tak na oko będzie i piętnaście, a pracują w nim trzy osoby — co oczywiście niewiele ma wspólnego z faktem, że w przyszłości zagłębie zatrudni 40 tysięcy ludzi i da tyle węgla rocznie, ile wydobywa go aktualnie cała Francja.

Trójkowa obsada kadrowa obowiązuje także w pozostałych pomieszczeniach zakładu. Czynnikiem konstytutywnym są również dwie ręczne i jazgotliwe maszyny do liczenia, służące wszystkim i wszystkiemu (w miarę

JAKO KREWNY ARTYSTY

Ireneusz J. Kamiński



Prof. dr hab. Jan Ernst

swych skromnych możliwości). Geografowie sny mają jedne: o wrocławskich i japońskich maszynkach rachujących, które osiągając rozmiar przeciętnej książki, pracują bezszmerowo i byle gdzie, np. w przedziale kolejowym. W geografii ekonomicznej wszystko opiera się na statystyce, a więc i na matematyce, w tej dziedzinie — ulokowanej w gronie nauk kameralnych — nie wystarcza przeciętnej znajomości matematyki wyższej, tu do wiadomych operacji trzeba mieć także serce.

Profesor Ernst uważa zresztą, że owa miłość do matematyki, do czystej teorii bywa czasami przesadna i w rezultacie spoza pięknych konstrukcji abstrakcyjnych nikt nie jest już w stanie dostrzec rzeczywistości. To nawet pouczające: autor pierwszej metody taksonomicznej (matematycznej), do dziś stosowanej w geografii ekonomicznej w procesie regionalizacji rolnictwa, porwałającej na uzyskanie obiektywnego obrazu rzeczy, nie choruje na tzw. rodzicielskie zaślepienie. Mało tego: 44 lata od chwili ogłoszenia owej teorii profesor jednoznacznie wskazuje na inspirującą go metodę podobieństw Jana Czekanowskiego, która tenże stosował w badaniach antropologicznych. Twórca lwowskiej szkoły antropologicznej interesował się czaszkami ludzkimi, młody geograf zajmował się regionalizacją rolnictwa. Czekanowski ustalił kilka podstawowych wymiarów, które pozwoliły mu na grupowanie czaszek w typy. Ernst „zastąpił” głowy jednostkami terytorialnymi, pewne ich elementy ujął w liczby, tym samym uzyskując podstawę do mechanicznego wydzielenia wzajemnego podobieństwa między np. powiatami czy gminami. Stopień owego podobieństwa decydował o łączeniu wspomnianych jednostek w region.

Metoda taksonomiczna powstała w 1932 roku. Jan Ernst miał wówczas 22 lata i kończył właśnie studia. Czekanowski w tym momencie liczył sobie 50 wiosen i od kilkunastu już lat był profesorem i kierownikiem katedry antropologii na Uniwersytecie Jana Kazimierza. I otóż ten światowej sławy uczyony chętnie i długo rozmawia ze studentem geografii, wpływa na kierunek jego myślenia. Taka sytuacja nas dzisiaj zdumiewa i mamy ochotę dodać jej trochę barwy, awansując do rangi wzorca koegzystencji uczelnianej. Niestety, trudna to sprawa. Choćby dlatego, że — co tu dużo mówić — młody Ernst egzystował w szczególnych układach.

Jego ojciec, Marcin Ernst, był znanym astronomem, autorem „Astronomii sferycznej”, od 1907 roku — profesorem Uniwersytetu Jana Kazimierza. W lwowskim domu Ernstów spotykali się ludzie wybitni, akademicko utytułowani, do przyjaciół Marcina zaliczali się Jan Kasprowicz, Jan Czekanowski i Eugeniusz Romer... Po

sąsiedzku mieszkał współtwórca słynnej szkoły lwowskiej i analizy funkcjonalnej, zdumiewający mocą talentu Stefan Banach, który w 35 roku życia został profesorem zwyczajnym uniwersytetu lwowskiego. Jan Ernst wyrastał w środowisku elity intelektualnej miasta (i kraju), która w znacznym stopniu odpowiadała elicie towarzyskiej Lwowa. Uczony był nawet bliskim, duchowym, krewnym artysty.

Na przełomie lat dwudziestych i trzydziestych działał w uniwersytecie lwowskim kabaretowy teatrzyk studencki „Nasze Oczko”, który później, po otwarciu w mieście rozgłośni radiowej miał się przekształcić w „Wesołą lwowską falę”, rozkołysaną przez Szczepka i Tonka. Student Jan Ernst, absolwent klasy fortepianu w konserwatorium, komponował melodie dla „Naszego Oczka”, a w 1931 roku zaproponował przygotowanie kwartetu wokalnego na doroczną rewię uczelni. Oferta przyjęła i w tych właśnie okolicznościach powstał znany „Chór Eriana”, drugi z kolei w Polsce — po „Chórze Daga” — zespół rewelersów, którego piosenki śpiewała ulica i kawiarnia, biedota i ziemiaństwo.

Już po kilku miesiącach wystąpili przed mikrofonami radia warszawskiego, a firma „Syrena-Electro”, mieszcząca się w stolicy przy ul. Chmielnej 66 (dziś śladu nie ma po budynku), nagrała ich pierwsze płyty. A potem zaczęły się wояże po kraju, wyłącznie latem, w wakacje, ponieważ w chórze śpiewali sami studenci, którzy mieli ochotę dorobić nieco na życie. Trasa zespołu obejmowała m. in. Zaleszczyki, Truskawiec, Krynicę, Zakopane, Wisłę, Ustron, Cielichocinek, Inowrocław, Gdynię... Z reguły występowali w soboty i niedziele, zawsze przy pełnych salach, nie milknąć nawet wówczas, kiedy żyrandole spadały z sufitu — jak to się stało np. w Zeglestowie. Do 1937 roku nagrał 80 piosenek, a jedna płyta kosztowała 3 złote 30 groszy, z czego 30 groszy stanowiło honorarium autorów. Na ogół śpiewali melodie kompozycji Jana Ernsta; teksty firmowali różni autorzy. Czy pamiętacie naństwo „Cztery małe krasnoludki” lub „Świat czarów” ze słowami Zofii Nawrockiej?!

Znamienne: środowisko profesorskie życzliwie spoglądało na wokalnno-estradowe inklinacje Jana Ernsta, który dwa lata po debiucie scenicznym otrzymał asystenturę w macierzystej uczelni (1933 r.). Bogiem a prawdą nie wyobrażam sobie, aby wstępujący pracownik naukowy uniwersytetu mógł dziś długo i bezkarnie występować np. w zespole bitowym.

CZYTELNICY MÓWIĄ

Wprowadzamy w „Kamień” nową stałą rubrykę pt. „Czytelnicy mówią”. Będą to krótkie rozmówki dotyczące różnych tematów. Zaczynamy od pytania: jaką książkę czytał pan ostatnio i dlaczego? Oto odpowiedzi:

Ryszard Dunin
sekretarz Wydawnictwa Lubelskiego

— Poza tekstami nadesłanymi do naszego Wydawnictwa — aż 11 pozycji związanych z zarządzaniem i organizacją pracy. Od „Traktatu o dobrej robocie” Tadeusza Kotarbińskiego, poprzez „Zarządzanie systemowe” Andrzeja Koźmińskiego, do „Automatyzacji jednostek organizacyjnych” Witolda Klezunia. Dziwnie! Trzeba się systematycznie dokształcać. W związku z cyklem szkolenia kadry kierowniczej w Centralnym Zarządzie Wydawnictw piszę pracę dyplomową, którą muszę ukończyć w maju.

Mgr inż. Kazimierz Zdybicki
inspektor nadzoru w DIM-Miasto

— Tak się złożyło, że nie mogłem brać czynnego udziału w drugiej wojnie światowej, ale bardzo mnie ta tematyka interesuje. Korzystając z krypy, przeczytałem właśnie „Wojnę światową na morzu” Lipińskiego i pamiętniki gen. Pattona. W obu bardzo dużo ciekawych rzeczy. No, o tym, jak w grudniu 1944 roku zaopatrzenie angielskie stawało na głowie, aby dostarczyć na światła tradycyjnego indyka.

Janusz Kocol
student I roku UMCS

— Poza lekturą obowiązkową — Wespazjana Kochowskiego „Psalmodya polska”. Siedziałem w czytelni przez dwa dni. Zainteresowało mnie szczególnie autorskie myślenie obrazami biblijnymi. Ja interesuję się prywatnie malarstwem i ciekawi mnie, jak pisarz plastycznie widzi różne rzeczy, np. ucieczkę Turków spod Wiednia i radość zwycięzcy, króla Sobieskiego.

Marian Krawczyk
naczelnik Zakładu Usług Socjalnych WZPPPT

— „Kamienne tablice” Zukrowskiego. Wysoko sobie cenię zarówno kulturę osobistą autora jak i jego znakomity warsztat pisarski. To bardzo urokliwa książka. Podejrzewam nawet, że autor pokazał w niej trochę własnego życia. I chyba nie napisalby tak pięknie, gdyby w opisywane sprawy sam nie był zaangażowany.

Jerzy Maruś
instruktor spółdzielni „Gromada”

— Właśnie skończyłem pożyczoną od koleżanki książkę Barbary Gordon „Proces poszlakowy”. To trochę kryminał, trochę powieść psychologiczna. Ciekawie napisana, przeczytałem ją jednym tchem do 1 w nocy. W domu mam kilka książek, ale mało, mieszkam z żoną w pokoiku 3 m na 3 m i nawet odzież muszę trzymać w paczce.

Eugeniusz Romanek
lekarz-psychiatra, telefon zaufania

— Taka relaksowa — „Droga na Horn” pańskiego kolegi, Krzysztofa Baranowskiego. Bardzo interesuje się żeglarstwem, chociaż pływam tylko po jeziorach mazurskich, a nie po oceanach. Przy czytaniu tej książki ciekawia mnie nie tyle opisy dalekich krajów, ile autorskie refleksje na temat — można powiedzieć — ogólnoludzkie. Baranowski dużo pisze o sobie, o swoich przeżyciach wewnętrznych, a nie tylko o tym, co widział.

Stanisław Zgrzywa
sekretarz WK Frontu Jedności Narodu

— Do wczoraj wieczora przeczytałem 150 stron „O dawnym Lublinie” Henryka Gawareckiego. To bardzo potrzebna i aktualna pozycja, bogato ilustrowana, dająca obraz Lublina od czasów najdawniejszych jego istnienia, podana w przystępnej formie. Chwała Wydawnictwu Lubelskiemu za jej wydanie. Książka ta stanowi kopalinę materiałów o środowisku lubelskim z zakresu literatury, sztuki, architektury, rzemiosła, przemysłu. Umożliwia zarazem konfrontację z tym, co się w Lublinie dzieje w chwili obecnej. A obie tematyki interesują mnie zarówno zawodowo jak i prywatnie.

Rozmawiał: JOD

LUBELSKI WĘGIEL

Dokończenie ze str. 1

darki warsztatowej, magazynowej, energetycznej, wodno-ściekowej, kolejowej, spraw socjalno-bytowych, łącznie z własnymi domami wczasowymi. Taki układ jest nie do przyjęcia w nowoczesnym zagłębiu. Przy projektowaniu kopalni lubelskich poszliśmy więc w kierunku centralizacji, to znaczy rozdzielenia funkcji kopalni jako takiej od funkcji pozostałych. Właściwie więc w naszym przypadku należy odrzucić tradycyjną nazwę „kopalnia”, a zastąpić ją określeniem „zespół produkcyjny”, który zajmuje się tylko urabianiem węgla i wydobyciem go na powierzchnię ziemi. Natomiast wszystkie pozostałe funkcje, nawet sortowanie i ekspedycja, zostaną scentralizowane w osobnych, wyspecjalizowanych jednostkach. Zakład przerobczy będzie jeden dla kilku zespołów produkcyjnych, otrzymując od nich węgiel prawdopodobnie taśmociągami. Tak samo wydzielone będą dla każdego okręgu, obejmującego kilka zespołów produkcyjnych, warsztaty naprawcze, magazyny itp. W zasadzie całe tzw. zaplecze znajdzie się na obrzeżu nieckii węglowej.

— Może pan dyrektor powie kilka słów o samej organizacji pracy przy wydobywaniu węgla?

— W kopalniach tradycyjnych nie ma centralnego rozdzielacza zalogi. Rozdział ten odbywa się na dole w oddziałach produkcyjnych, a „hala zborna” służy przeważnie do organizowania zebrania i masówek. U nas inaczej. Pracownicy będą zbierali się w centralnym punkcie zbornym. Górnik przy swojej szafce będzie miał urządzenie, do którego włoży czynnik i komputer powie mu natychmiast, gdzie ze

względem na aktualne warunki czy potrzeby ma dzisiaj pracować: w zespole nr 1, nr 2, czy nr 3. Ten punkt zborny zaś to nie tradycyjna łazienka ale kompleks kąpieliska z basenem krytym i otwartym oraz pełnym asortymentem zabiegów balneologicznych — borowiną, kwasowęglową, czterokomorówką itd. Górnik zaś po odczytaniu czytelnika zostanie przewieziony autobusem — już w ubranu roboczym — do odpowiedniego szybu, a potem kolejka do miejsca pracy.

— Pańska wizja kopalni, panie dyrektorze, przewraca do góry nogami nasze dotychczasowe pojęcia o kopalni węgla.

— Na cóż, jeżeli mówimy o kopalniach na koniec XX i początek XXI wieku, musimy patrzeć przyszłościowo. Gdyby mnie pan redaktor pytał o dalsze szczegóły, nie umiałbym dokładnie odpowiedzieć, bo szereg spraw nie jest jeszcze opracowanych do końca, to przecież koncepcja, a nie projekty techniczne. Ale to, co powiedziałem, jest możliwe do realizacji tylko w układzie scentralizowanym.

W kopalniach górnośląskich pokłady węgla zalegają z dużym nachyleniem. Buduje się więc tam poziomy wydobycze, a z nich prowadzi przepływy, które przecinają kilka różnych pokładów. Tak więc i eksploatacja odbywa się w kilku pokładach o różnych miąższościach, warunkach stropowych, twardości samego węgla itd. Bywa, że gdy np. eksploatuje się cztery pokłady, trzeba mieć cztery typy maszyn, stosować cztery typy obudowy. Natomiast w LZW złoża mają tylko 3—5 stopni nachylenia, co pozwala na zastosowanie tzw. modelu pokładowego. W konsekwencji wszystkie zespoły produkcyjne będą eksploatowały jeden pokład, odpadają tzw. ro-

boty kamienne, uzyskuje się węgiel jednakowej jakości, stosuje jednolite maszyny do jego urabiania i dostawy, stawia jednakową obudowę. Dzięki temu również górnik „przełancowany” z jednego zespołu do drugiego, pracuje w takich samych warunkach.

— Używał pan takiego określenia, jak obszar górniczy. Co to takiego? My tu na Lubelszczyźnie jeszcze nie znamy języka górniczego.

— Obszar górniczy, dawniej zwany nadaniem górniczym, jest to obszar, w którego granicach można eksploatować daną kopalnię. Często granicami obszaru górniczego są granice naturalne złoża, jak uskoki albo zmycia pokładów. Wzdłuż tych obszarów, na granicy z sąsiedzi, na Górnym czy Dolnym Śląsku trzeba zostawiać filary ochronne. Np. na Górnym Śląsku zamrażają one kilkanaście miliardów ton węgla pod miastami, zakładami przemysłowymi a także urządzeniami samej kopalni. Na Lubelszczyźnie projektujemy eksploatację bezfilarową. Według opracowania zespołu naukowców z Akademii Górniczo-Hutniczej jest to możliwe, naturalnie z pewnymi zabezpieczeniami, przede wszystkim rury szybowej. Dalej — zabudowa powierzchni poza wieżami maszyn wyciągowych, które muszą mieć po kilkadziesiąt metrów wysokości i być przystosowane do rektyfikacji, będzie parterowa lub jednopiętrowa. Takie budownictwo pawilonowe z prefabrykatów i ścian osłonowych oznacza olbrzymie obniżenie kosztów w porównaniu z metodą tradycyjną. Przez centralizację usług doprowadziliśmy także do minimalizacji zabudowy powierzchni. Są w Polsce kopalnie, które na powierzchni zajmują nawet do 24 ha, natomiast lubelski zespół produkcyjny zajmie tylko do 4 ha. Reszta

znajdzie się, jak już mówiłem, poza obszarem górniczym, a więc poza ewentualnymi szkodami górniczymi, co obniża koszty o jakieś 30 proc.

— Śląsk ma wieczne kłopoty z brakiem piasku na podszadkę, a Pustynia Biedowska i tak już się kureczy...

— Tak. Podszadka hydrauliczna czyli piasek z wodą, osiada o jakieś 15 proc. Jeżeli w tych warunkach weźmiemy pod uwagę eksploatację pokładu grubości 20 m, bo takie też są, to osiadanie wyniesie 3 m i stąd na Górnym Śląsku wciąż istnieje problem szkód górniczych. W LZW nie zastosujemy podszadki hydraulicznej, ale skutki ze względu na głębokość zalegania pokładów będą zupełnie inne niż na Śląsku. Wprawdzie powierzchnia ziemi obniży się, ale będzie to proces bardzo powolny, rozłożony na dziesiątki lat, a zarazem na takiej przestrzeni, iż to obniżanie się w praktyce stanie się niewidoczne, nie utworzą się żadne zapadliska.

— Niektórzy miłośnicy przyrody, a także wedkarze i myśliwi, obawiają się, że przy eksploatacji węgla w pobliżu czy pod Pojezierzem Leżyńsko-Włodawskim woda z niektórych jezior może po prostu zniknąć.

— Nie ma o to obawy, na pewno. Pokłady zalegają średnio na głębokości 800 m, do tego poziomu są warstwy tak nieprzepuszczalne, że woda z jezior nie znajdzie drogi do ucieczki. Sam jako zapalony myśliwy i po pobycie na Śląsku spragniony innego otoczenia, byłbym tym zmartwiony. Zresztą i technika górnicza doszła już do takiej perfekcji, że potrafi opracować i zastosować metody tak skutecznej eksploatacji, aby nie zatopić kopalni. Nie będzie tu żadnych ubocznych skutków ani dla przyrody, ani dla rolnictwa.

— Budowa kopalni wymaga jednej grupy pracowników, eksploatacja innej. Jak pan dyrektor widzi to w przypadku LZW?

— Przy budowie trzeba rozróżnić dwie sprawy. Jedną to budownictwo typowo przemysłowe — różne budynki, magazyny, domy mieszkalne i inne

WSZEREGACH polskiego ruchu oporu na Lubelszczyźnie, szczególnie w oddziałach partyzanckich, spotykamy sporo obcokrajowców*).

W maju lub czerwcu 1944 r. w Brzezinach pow. Ryki, pełniąc służbę w patrolu wysłanym przez zgrupowanie partyzanckie, spotkaliśmy pewnego osobnika — pisze w swej relacji Stanisław Wielgomas, zamieszkały w Koszalinie. — Okazało się, że był to jeńiec francuski zbiegły z obozu. Szedł on z południa Polski. Mówił, że był w niewoli niemieckiej i stamtąd udało mu się zbiec... Bardzo chwalił Polaków za udzieloną mu pomoc. O sobie mówił, że był w wojsku francuskim. Nazywał się Jacques Quercy. Gorąco błagał on dowódcę, by przyjął go do partyzantki, co też uczyniono, a mnie powierzono obserwację, czy to nie jest przypadkiem pracownik gestapo. Do wyzwolenia brał on udział w potyczkach, jakie stacaliśmy z Niemcami. W pierwszej potyczce pod Nałęczowem nie otrzymał broni, tylko granaty. Był tak szaleńczo odważny, że po zauważeniu zabitego Niemca doczołgał się pod ostrzałem z obu stron do niego i odebrał mu broń, a następnie — z tej pozycji, oparłszy karabin o zwałki, walczył, aż do niego podciągnęliśmy. Trud i niewygody znosił ze stoickim spokojem... Polecono mi otoczyć go szczególną opieką, co wypełniłem z przyjemnością z uwagą na nadzwyczaj taktowne i nie narzucające się zachowanie Francuza...

Dwóch Francuzów — „Leon” i „Pierre” — trafiło do I Brygady AL Ziemi Lubelskiej, którą dowodził Andrzej Flis. Jako jeńcy wojenni dostali się na Lubelszczyznę. Okupant przydzielił ich w charakterze robotników do fabryki mebli w Zwierzynku. Znaleźli się później w oddziale NOW — AK Franciszka Przysiężniaka („Ojciec Jan”).

Stanisław Witkiewicz przekazał dwóch Francuzów — zbiegłych jeńców wojennych — do oddziału partyzanckiego dowodzonego przez Bolesława U-sowa („Konara”), działającego na Lubelszczyźnie.

Niektórzy jeńcy francuscy, zbiegli z obozu karnego w Rawie Ruskiej (Stalag 325), dotarli do batalionu BCH Stanisława Basaja-Kraski („Rysia”) w pow. hrubieszowskim, w którego szeregach walczyli.

W „międzynarodowej” specjalnej grupie szturmowej pod dowództwem „Sceny”, wchodzącej w skład oddziału partyzanckiego AL dowodzonego przez „Kmiecia”, byli obok Polaków Czesi, Niemcy i Francuzi.

* Nie omawiamy tu wkładu bojowego ludzi radzieckich, których udział w walce z hitlerowskim okupantem na Lubelszczyźnie był największy, nieporównywalny w zestawieniu z przedstawicielami innych narodów, ponieważ problem ten został już wielokrotnie szczegółowo przedstawiony w licznych polskich i radzieckich publikacjach naukowych i popularnych oraz w prasie, co zwalnia autora od powtarzania tych informacji.

Za waszą wolność i naszą

OBCOKRAJOWCY W RUCHU OPORU NA LUBELSZCZYŹNIE

Stanisław Okęcki

Inna grupa sześciu Francuzów, zbiegłych 14 sierpnia 1942 r. podkopem (ogólna liczba zbiegłych wówczas wyniosła 93) z komanda „Zwierzyniec” obozu jeńców w Rawie Ruskiej, wstąpiła pojedynczo do oddziałów partyzanckich AK i BCH w powiatach: Biłgoraj, Zamość, Tomaszów Lubelski, m. in. do oddziału partyzanckiego 9 pp AK mjr. Stanisława Prusa („Adama”). Byli to m. in. Alzaczycy: Pierre Edouard Van den Boosch, Jean Emberger i Victor Conan. Jeden z nich miał pseudonim „Karve”, nazwisk pozostałych nie udało się dotychczas ustalić. Van den Boseha i Conana Niemcy zastrzelili w kryjówe, obu śpiących, trzeci zbiegł, po kilku dniach został schwytany w pobliżu Krakowa i sprowadzony z powrotem do obozu w Rawie Ruskiej. Niektórzy z tej grupy zbiegów brali udział w czerwcu 1944 r. w największej bitwie partyzanckiej w Lasach Janowskich, Lipskich i Puszczy Solskiej, a zginęli w boju pod Osuchami 23 czerwca 1944 r.

Francuzów spotykamy także w niektórych radzieckich jednostkach partyzanckich działających w Lubelskiem.

26 lutego 1944 r. niemiecki samochód pancerny obsługiwany przez załogę francuską przeszedł pod Zamościem na stronę i Ukraińskiej Dywizji Partyzanckiej im. gen. S. A. Kowpaka (dowódca gen. mjr P. P. Werszyhora), w której szeregach walczyli również liczni Polacy. W skład załogi wchodził: lejtant Jean-Pierre de Charonne, st. sierż. Michel Legret, cekaemista Bernard Roger i zwiadowca Andre. De Charonne i Legret poległ później podczas akcji bojowej w rejonie Puszczy Białowieskiej. Pozostali dwaj Francuzi walczyli nadal w szeregach partyzantki na Lubelszczyźnie.

O oddziale partyzanckim lejtanta Flodora Kowalowa na Lubelszczyźnie spotykamy Francuza

George'a pełniącego obowiązki erkaemisty. Zginął w bitwie pod Osuchami.

W oddziale GL kpt. „Miszki-Tatara” (Adamow Umer Achmoły) znajdujemy również jednego Francuza.

Georges, Gaston i Pierre, wcieleni do jednostki wojskowej Wehrmachtu złożonej z Alzaczyków i Lotaryńczyków, w czasie przejazdu przez Biłgoraj na front wschodni skontaktowali się z miejscową ludnością i przy jej pomocy uciekli z bronią w rękę do jednego z oddziałów partyzanckich AK. Pierre obsługiwał rusznicę ppanc., Gaston remontował pociski artyleryjskie i bomby lotnicze, a George był zwiadowcą. Brali oni również udział w bitwie w Lasach Janowskich, Lipskich i Puszczy Solskiej. Po wojnie wrócili do Francji.

Na terenie Inspektoratu AK Zamość (gminy Grabowiec i Miączyn) w partyzanckim oddziale pod dowództwem „Irki” walczył w 1944 r. Francuz z Alzacji o nie ustalonym dotychczas nazwisku. Francuzów spotykamy również w szeregach 27 dywizji AK.

W batalionie Armii Ludowej pod dowództwem kpt. „Zemsty” — Skotnickiego dowódcą pierwszej kompanii był Jan Wójtowicz. Terenem działania oddziału był powiat lubartowski. Kiedy zgrupowanie zajmowało kwatery we wsi Dąbrówka (dasy kozienickie), natknęło się na Niemca w mundurze SS. Przesłuchany zeznał, że służył w formacji SS i należał do załogi straży obozowej na Majdanku. Uciekł stamtąd wraz z narzeczoną z zamiarem wstąpienia do partyzantki. Prosił, by przyjąć go do oddziału, zapewniając, że będzie dobrym żołnierzem. Jego zapewnienia okazały się szczerze. Nietypowy partyzant w mundurze SS pochodził z mieszanej rodziny niemiecko-słowackiej. W Siewalcji jako młody chłopak został zwerbowany do SS.

obiekty towarzyszące. Druga to budownictwo typowo górnicze — wykończenie szybów, wyrobisk korytarzowych. To ostatnie wymaga sprowadzenia wy- kwalifikowanej kadry, bardzo mało uniwersalnej. Górnik szybowy to jest doświadczony człowiek, tu nie ma szarej brzozy, pomocy dołowej. Dosłownie każde stanowisko pracy wymaga bardzo dużych umiejętności. Nie widzę możliwości zatrudnienia tu ludzi surowych. Nie chcę wybiegać naprzód, ale sądzę, że gdy zostanie podjęta decyzja o budowie całego Lubelskiego Zagłębia Węglowego, to także w budownictwie przemysłowym trzeba będzie stworzyć nowe moce przerobowe, wyposażone w najbardziej nowoczesny sprzęt.

— O dwóch pierwszych szybach pod Lecznią mówi się: kopalnia pilotująca. Czyba nie chodzi o to, że to ma być pierwsza?

— Nie, nie o to. Kopalnia pilotująca ma potwierdzić lub zaprzeczyć wynikiem, otrzymanym w czasie poszukiwań geologicznych. Chcemy uzyskać dane, jak się zachowują skały, właśnie te nieznanne — jura i kreda. Pragniemy stwierdzić, gdzie są horyzonty wodne i jaka jest woda. To pozwoli na opracowanie najbardziej właściwej technologii, równocześnie najbardziej bezpiecznej, najbardziej szybkiej i dającej najlepsze efekty. Uzyskamy możliwość selektywnego uchwycenia wód z poszczególnych warstw stratygraficznych. Wodę pitną trzeba wykorzystać do picia, przemysłową w przemyśle, zasoloną odprowadzić we właściwe miejsce lub odsolić. Dalej — przy robotach korytarzowych chcemy stwierdzić, jak się zachowują stropy, jak się zachowują spągi (warstwy pod pokładem węgla) i w konsekwencji jak ciężar mogą mieć maszyny do urabiania i odstawy węgla, aby się ewentualnie nie zapadały. Musimy poznać dokładnie temperaturę skał otaczających, gdyż zależnie od tej temperatury trzeba zaprojektować odpowiednią wentylację, aby dać ludziom właściwe warunki pracy. No i jeszcze wiele innych spraw. Oba szyby i ich wyrobi-



Węgiel z lubelskich szybów poszukiwawczych.

Fot. J. Polski

ska są tak zaprojektowane, że po daniu odpowiedzi na te pytania, co potrwa dwa lub trzy lata, wejdą do normalnej eksploatacji.

W Głównym Biurze Studiów i Projektów Górniczych opracowano pojęcie jednostki podstawowej, o której już mówiliśmy. To znaczy dla pew-

nych spraw opracowano program, a odpowiedzi udzieliła maszyna cyfrowa. Otóż podstawowymi założeniami do określenia nominalnego obszaru górniczego są: 1) wentylacja, 2) koszt transportu materiałów i urobku. Trzeba znaleźć optymalne wymiary tego obszaru, które mogłyby być wentylo-

wane dwoma szybami, albowiem zawsze jeden musi być „wdechowy”, drugi „wydechowy”. Powietrze na dole bowiem jest rzeczą podstawową. I teraz zakłada się pewne koszty wentylacji. W zależności od długości dróg wentylacyjnych rosną one bardzo szybko. I jeżeli np. roczny koszt wentylacji przekracza koszty budowy nowego szybu, to nie ma sensu tworzyć dłuższych chodników poziomych, ale trzeba drążyć nowy szyb. Maszyna cyfrowa odpowiedziała, że dla warunków lubelskich i założonych średnic szybów przeciętnie 7,5 m najlepszym obszarem górniczym jest prostokąt o wymiarach 3400 m i 4200 m, czyli 1428 ha. I to jest właśnie pojęcie jednostki podstawowej, co oznacza minimalizację kosztów transportu i optymalizację wentylacji. Dwie lub trzy takie jednostki tworzą zespół produkcyjny. Taki jest moduł zagospodarowania Lubelskiego Zagłębia Węglowego.

— Na początku grudnia zamieściłem w „Kamieniu” wywiad z prof. Marianem Rutkowskim o przerobieniu węgla na ropę. Mówi się też niekiedy o spalaniu węgla bezpośrednio w ziemi celem uzyskania paliwa gazowego. Jakie jest pańskie zdanie na te tematy?

— Próby zgazowania węgla pod ziemią są robione od kilkunastu lat, ale nie dają efektów. Węgiel w ziemi przy małej ilości tlenu nie chce się palić, a przy dużej jego ilości powstaje dwutlenek węgla, nie dający energii. Natomiast karbochemia w najbliższych latach niewątpliwie nabierze rumieńców.

A na marginesie — takich marnotrawców węgla jak my, Polacy, jest mało na świecie. W węglowych paleniskach domowych wykorzystujemy zaledwie około 15 proc. energii zawartej w węglu, z kotłowni węglowych też bardzo dużo tej energii ucieka przez kominy. Ale to już inne zagadnienie.

— Dziękuję za interesującą rozmowę.

Rozmawiał Jerzy Dostatni

Jak mówił, czuł się Słowakiem i to było zasadniczym powodem jego dezercji. Podczas walk z Niemcami wykazał niepospolitą energię, poświęcenie, odwagę. Walczył w szeregach AL aż do wyzwolenia Lubelszczyzny. Nazywano go popularnie „Jankiem-Słowakiem”.

W oddziale leśnym Armii Ludowej ppor. „Bartosz” — Pawła Niewinnego walczył w r. 1944 Czech Jan Sumelin Ulsni, który trafił tam po ucieczce z formacji Wehrmachtu.

Kilku Niemców znajdujemy w oddziałach partyzanckich w obwodzie lubelskim. W połowie kwietnia 1944 r. oddział AL im. Ziemi Lubelskiej wziął do niewoli Niemca, listonosza pochodzącego z Hamburga. Niemiec ten, o nie ustalonym do dziś nazwisku, wstąpił do oddziału i zginął w walce z hitlerowcami pod Rąbłowem. Ogółem w oddziałach lubelskich AL było 3 Niemców — wszyscy oni zginęli w walkach.

Zbigniew Orliński — „Sławian” podaje, iż w 1944 r. przekazał zastępcy dowódcy partyzanckiego pułku AK OP 9, kapitanowi „Wacławowi”, dwóch jeńców niemieckich z formacji Schutzpolizei. Jeden z nich, Walter Rappsilber, pochodzący z Halle, na własną prośbę, przyjęty został w skład oddziału partyzanckiego AK.

Jugosłowianin Cziho (Cziko?) był partyzantem w oddziale BCh „Błyskawica” („Jaskółka”), dowodzoną przez Jana Kędrę i operującą w pow. biłgorajskim. Poległ w czerwcu 1944 r. w Puszczy Solskiej w uroczysku Mariana.

Jugosłowianin Stiepan Pohek walczył od początku października 1943 r. do połowy 1944 r. w szeregach jednego z polskich oddziałów partyzanckich AK operujących na południowym Podlasiu.

Żołnierze formacji węgierskiej indywidualnie lub całymi grupami przechodzili do oddziałów partyzanckich lub Armii Radzieckiej, przynosząc ze sobą uzbrojenie, amunicję i całe wyposażenie. Przed wszystkim starali się dotrzeć do tych oddziałów, które walczyły w pobliżu granicy węgierskiej. Spotykamy ich początkowo głównie na wschodniej i pół-wschodniej części ziem polskich. Np. w miejscowości Gliny pow. chełmskiego do miejscowej placówki AK włączyła się kompania wojska węgierskiego, którą komendant placówki porodził na poszczególne plutony. Także i na innych terenach działały grupy partyzanckie, w których składzie znajdowali się żołnierze węgierscy lub Węgrzy; poddali się oni od razu w chwili nawiązania kontaktu z polskimi oddziałami partyzanckimi.

W hrubieszowskim oddziale BCh „Rysia” dzielnie walczył Józef („Józef”), Węgier z pochodzenia.

Zgrupowanie partyzanckie „Jeszcze Polska nie zginęła” składało się z ponad tysiąca ludzi pod dowództwem płk. Roberta Satanowskiego. Wraz z partyzantami polskimi przeprawił się przez Bug kilkudziesięcioosobowy węgierski oddział partyzancki dowodzony przez Gyula Racz, który wszedł w skład Zgrupowania. Oddział ten m. in. rozwijał działalność agitacyjno-propagandową wśród żołnie-

rzy jednostek węgierskich stacjonujących w rejonach nadbużańskich.

Sekretarzem partyjnym oddziału węgierskiego był Sandor Horvath, a członkami dowództwa: dr Istvan Kovacs, Włodzimierz Zamek, Marton Szöny. Węgrzy ci wyrazili chęć walki przeciwko Niemcom w czasie pobytu w antyfaszystowskiej szkole obozu jenieckiego w Krasnodarze. Specjalistyczne przeszkolenie przeszli w szkole partyzanckiej w Kijowie. Dowództwo postawiło przed nimi zadanie wzięcia udziału w walkach polskich oddziałów partyzanckich, a równocześnie przenikania przez linię frontu i prowadzenia pracy propagandowej. Warto przypomnieć również Węgra „Gyulę”. Na wiosnę 1944, jak podał w swej relacji ustnej Andrzej Feis, „Gyula” przyjęty został do oddziału AL, którym dowodził Ignacy Borkowski — „Wicek”. Później, aż do chwili wyzwolenia Lubelszczyzny „Gyula” walczył w szeregach kompanii partyzanckiej por. Zbigniewa Pietrzyka — „Zbyszka”. Jak podaje Leszek Siemion, w tym samym czasie, w wyniku starcia oddziału AK (dowódca Józef Frańczak — „Argil”) z dużą grupą hitlerowców pod Komaszycami w pow. bełzyckim, kilkunastu Niemców dostało się do niewoli. Dwaj z nich wstąpili do oddziału; później brali udział w akcjach bojowych. Jeden z tych Niemców poległ w czasie bitwy partyzanckiej w lipcu 1944 r.

Kiedy w kwietniu 1944 r. oddział AK por. „Nerwy” — Rokickiego zaatakował niemiecki punkt oporu w Kozienicach Górnych i rozbił całą jego załogę, dwaj spośród jeńców wyrazili chęć pozostania w obozie, na co dowódca wyraził zgodę. Obaj Niemcy później dzielnie walczyli w szeregach oddziału. W oddziale tym był także Rumun, który zamienił służbę w Wehrmachcie na udział w partyzance. Trafił on do oddziału wiosną 1944 r. i walczył w jego szeregach aż do czasu wyzwolenia Lubelszczyzny.

26 lipca 1944 r. oddział AL por. Ludwika Paszkowskiego („Lutka”) wziął do niewoli m. in. dwóch Austriaków z niemieckiej 10 dywizji. Obaj wyrazili chęć walki z hitlerowcami i dowódca partyzancy postanowili dać im do tego sposobność. Naderzyła się ona już następnego dnia, kiedy doszło do ciężkiej bitwy w lasach gościńcówskich. Zaden nie zawiódł. Zugsführer Joseph Breitfuss dał przykład dzielności, a jego kolega poległ w boju do ostatka strzelając z cekaemu, który przejął po śmierci partyzanckiego celowniczego.

Na przełomie kwietnia i maja 1944 r. w czasie zasadki urządzonej przez brygadę AL na skraju lasów parczewskich, w niewielkiej odległości od stacji kolejowej Gródek rozbito oddział niemiecki. Do niewoli dostał się Austriak z Wiednia. Ze zdobytym na Niemcu karabinem brał aktywny udział po polskiej stronie w bitwie w lasach parczewskich.

Wiosną 1944 r. por. „Kotka” — Meluch, który dowodził grupą partyzantów AL, wykonał w rejonie Gródka pod Parczewem udany atak na niemiecki transport kolejowy. W ferworze walki jeden z wehrmachtowców, którym okazał się Czech zmo-

bilizowany do armii hitlerowskiej i przydzielony do Waffen-SS, nagle zwrócił swą broń przeciwko hitlerowcom. Pozostał on w jednostce walczącej pod pseudonimem „Janek”.

W polsko-radzieckim oddziale partyzanckim im. J. Stalina (dowódca Mikołaj Kunicki ps. „Mucha”) walczyli Węgrzy: Mencer Jenő, Kohn Sándor, Mikołaj Béla i Orban Antál.

Natomiast w oddziale partyzanckim im. T. Kościuszki (dowódca Czesław Klim) był Węgier Löcsel József.

W głośnej ucieczce 10 więźniów z obozu na Majdanku, zorganizowanej przez związek „Orzeł” (działacze PPR pod kierownictwem Pawła Dąbka) w nocy z 23 na 24 marca 1944 r. brał również udział więzień funkcyjny tego obozu, kapo Georg Arold, niemiecki komunista rodem z Etselheim (Bawaria), który po tej ucieczce schronił się w jednym z oddziałów ludowej partyzantki i walczył przeciwko hitlerowskiemu okupantowi. Zginął w jednym z bojów w lipcu 1944 r.

W tym samym obozie grupa oporu złożona z niemieckich więźniów: Ludwiga Einicke, Waltera Molle, Wilhelma Enke, Karla Bogena, Otto Weisse i innych niemieckich komunistów i antyfaszystów współpracowała ściśle z polskimi organizacjami obozowymi. Członkowie tej grupy przeważnie pracujący w obozowych warsztatach, okazywali nieocenioną wprost pomoc polskim współwięźniom, wykorzystując swe możliwości względnie swobodnego poruszania się po terenie obozu.

Poligon artyleryjski pod Garwolinem przeznaczony był dla wypróbowania pocisków zapalających, które miały zastosowanie do dział 88 mm. Okoliczna ludność zwróciła uwagę na to, że niektóre z tych pocisków dają po wybuchu dym o czerwonym kolorze. Gdy radiostacja zgrupowania Roberta Satanowskiego poinformowała o tym PSzP — przyszło stamtąd kateryczne żądanie: dostarczyć bliższe dane o dziwnym pocisku. Jeden z wywiadów Roberta Satanowskiego dotarł do feldfebla ze stacjonującej w Garwolinie jednostki Wehrmachtu. Był to Austriak — wiecieńczyk, który bardzo źle życzył III Rzeszy, a co najważniejsze, miał w obsłudze poligonu zaprzyjaźnionych i podobnie myślących jak on sam, rodaków. Postarał się oni o pocisk dający przy wybuchu czerwony dym i dostarczyli go podoficerowi w Garwolinie, a ten z kolei przekazał go Polakom. Przesłany został do lasów w powiecie włodawskim, gdzie znajdowało się partyzanckie lotnisko obsługujące zgrupowanie radzieckiego płk. „Czornego” — Iwana Banowa. Jednym z najbliższych samolotów przywieziony z Garwolina pocisk odleciał za Bug.

Chlubna działalność obcokrajowców-antyfaszystów na ziemiach polskich stanowi nie tylko część składową historii najnowszej tego obszaru. Wzbogaca ona również tradycje braterstwa broni narodów walczących przeciwko hitlerystom w okresie II wojny światowej na tych ziemiach.

Monte Verde

Aleksander Jański

NIE umiem tego reportażu pisać bez miłości, miłości do miasta na winnych wzgórzach. To ostatnie nazwanie jest bardziej wspomnieniem po wielkich winnicach. Niepełną prawdę głosi też łacińska nazwa grodu, choć pomaga ją potwierdzać bardzo dobry vermouth „Monte Verde”, który wraz z „Laurem” uzyskał wysokie zagraniczne znaki jakości, ale trudno nabyć te wina w kraju. W średniowieczu i następnych epokach wokół Zielonej Góry rozprzestrzeniały się setki hektarów winnej latorośli, jeszcze na początku tego wieku kronikarz pisze o dwustu hektarach.

Po powrocie miasta do Macierzy przed trzydziestu laty pozostało ich już tylko sześćdziesiąt, a teraz mówi się o czterdziestu. Właścicielem jest Lubuska Wytwórnia Win. Moszcz z jednej zielonogórskiej tony winogron zastępuje taki sam plyn z czterech wygrzanych słońcem Bułgarii. Mimo to plantacje te są nieopłacalne, a LWV nieletnie je i odnawia bardziej dla honorów grodu i dla tradycji. Bez nich jakże by w ostatnią sobotę i niedzielę września mogły odbywać się pod koniec Dni Zielonej Góry znane szeroko Gody Winobrania? Nie umiem więc pisać o Zielonej Górze bez miłości, na chłodno, bo w niej przypadło mi dorosnąć jako człowiekowi i w zawodzie, a przecież najlepiej wiem, ile to miasto ma wad, z jak wielu przyczyn niewarte jest aż takiego kochania. Ale, czyż tak również nie bywa z uczuciami do kobiety?

Był piąty marca pięćdziesiątego czwartego, kiedy stanąłem zadumany przed obłym, wielkim kamieniem, który niesłusznie chyba później usunięto z tego miejsca. Pisano na nim z przechwałką, że któregoś tam dnia, chyba 1946 roku, zlikwidowano spuściznę kapitalizmu: analfabetyzm. Pozostałoby wruszające świadectwo ówczesnego sposobu myślenia najpierwszych pionierów. Minąłem następnie Lubuską Wytwórnę Wódek gatunkowych oraz zakłady, w których obecnie już od lat działa duże przedsiębiorstwo urządzeń pomiarowych i elektrotechnicznych „Lumel”, by wstąpić w Aleje Niepodległości. Drzewa były jeszcze nagie, bezlistne, murowane ogrodzenia, a także zwykłe drewniane płotki owinięte zaschłymi sznurami powojów, smutne lodgy malw dźwigały cienki puszek śniegu. Ja, należący do trzeciego rzutu pionierów, widziałem jednak to miasto już zielone i tak piękne, jakim okazało się naprawdę dopiero za miesiąc...

Wnet, w miarę poznawania miasta i regionu lubuskiego, pojąłem, że nie tylko wódki gatunkowe i wino stanowią o charakterze miasta, w którym to dopiero co krawiec i szewc powiatowy położyli się spać jeszcze jako powiatowe rzemieślnicy, a nazajutrz obudzili się już jako rzemieślnicy wojewódzcy, o wiele godniejsi, chociaż przecież ci sami. Podobnie było w innych zawodach. Do dziś o charakterze miasta stanowią wspomniane już „Lumel”, ale także „Polska Welna”. Zakłady Metalowe im. M. Nowotki „Zastal”, produkujące wagony towarowe różnego typu i lokomotywy spalinalne, Lubuska Fabryka Zerzeblarek Bawełnianych „Falubaz” (mająca do brych żużłowców), Zielonogórskie Fabryki Mebli, Fabryka Dwanów. Dziś znajdują te same zakłady podwojone, niekiedy potrojone, a przede wszystkim zmodernizowane. Dołączają do nich nie tylko wielka elektrownia, ale także zupełnie nowe zakłady „Novita”, mające produkować wykładziny podłogowe.

Na wystawie osiągnąć województwa zielonogórskiego zobaczyłem wielką mapę. Z różnych miast i osad Ziemi Lubuskiej brały początek barwne nitki sięgające niekiedy do antypodów. Spośród nich co najmniej setka nitek wywodziła dane o eksporcie na cały świat właśnie z Zielonej Góry. Owszem, z Gorzowa Wielkopolskiego, z Żur i Zagania, Nowej Soli, Głogowa, Szprotawy i Świebodzina, z Lubuska, Miostowic, Przemkowa i Drezdenka, z lubuskich lasów, które zajmują prawie czterdzieści cztery procent obszaru województwa, przede wszystkim jednak ze stolicy tego regionu, z Monte Verde.

Mniej znane są natomiast osiągnięcia kulturalne Zielonej Góry i Ziemi Lubuskiej, dla której to miasto stało się stolicą. Nie jest ono jeszcze w pełni prawdziwą metropolią dla powiatów. Ci, którzy mają po temu warunki, o wiele więcej wciąż jeszcze znajdują w sąsiednich, mianowicie w Poznaniu i Wrocławiu, gdy chodzi o teatry i opery, kinegarnie, a także imprezy bardziej kameralne. Pół sezonu, kiedy właśnie do Zielonej Góry przyjeżdżali znawcy aż ze stolicy i Krakowa, by zobaczyć teatr Marka Okopńskiego i Stanisława Hebanowskiego. Sporo wdąrzyło się za dyrektora Zegalskiego i Jerzego Hoffmanna, teraz próbuje te tradycje odrodzić Ryszard Żurkowski, tak jak osiągnięcia Zygmunta Hassy kontynuuje i błyskotliwie rozwija pianista i dyrygent Zielonogórskiej Filharmonii — jej dyrektor Kazimierz Morski.

Można śmiało zaryzykować twierdzenie, że cokolwiek powstało w tym mieście, zapoczątkowali amatorzy, miłośnicy danej dziedziny kultury i nauki.

Pracownik budowlany Piotr Kuciński napisał sztukę współczesną. Znaleźli się wśród pierwszych osadników dziewczęta i chłopcy, kobiety i mężczyźni, którzy w niej zagrali. Przy „Polskiej Welnie” i u „Kolejarzy” powstały także sceny amatorskie. Spośród nich to Cegielski, a przede wszystkim Zbigniew Koczanowicz wybrali kilku najzdolniejszych, aby spełnić ambicje ówczesnych władz i utworzyć zawodowy Lubuski Teatr im. L. Kruczkowskiego. A przecież właśnie z nimi rozminęła się praca aktorka Roza Gella. Koczanowicz mógł być już tym reżyserem i pedagogiem, który później doprowadził do egzaminu państwowego. Później dobrze sprawdzili się także na innych scenach. W tej samej „Polskiej Welnie” muzykowanie rozpoczęła z grupą entuzjastów pani Millerowa, potem jej dokonania rozwijał dr Mazurkiewicz, by po wieloletniej dyrygenturze i kierownictwie artystycznym Zygmunta Hassy i uporze Kazimierza Morskiego mogła się stać filharmonia. Wśród muzyków wciąż jeszcze gra kilku pionierów, tyle że dziś już muzycznie wykształconych.

Może tylko plastycy, na skutek zapór statutowych, rodzili się spośród zawodowców. Najpierw: Sokołowska, Stefan Stołcki, Marcolla, Majerski długo nie mogli przyciągnąć większej grupy. Dopiero akcja Ministerstwa Kultury i Sztuki, które skierowało do wojewódzkich ośrodków zachodnich absolwentów akademii sztuk pięknych, sprawiła, że w 1953 roku osiedliła się już spora kolonia młodych zapaleńców w czarnych beretach: Klem Felchnerowski, Marian Szpakowski, Ignacy Biełnik, Kazimierz Rojowski, Witold Nowicki, za nimi przyszli inni i dziś jest ich już ponad siedemdziesięciu. Okręg Związku Polskich Artystów Plastyków w Zielonej Górze zapisał się na Ziemi Lubuskiej wielu znaczącymi inicjatywami i dokonaniami artystycznymi. Nie mówię o licznych wystawach indywidualnych w winnym grodzie i w innych ośrodkach z Warszawą i Krakowem włącznie, także nie o dość licznych prezentacjach w ekspozycjach zagranicznych w naszej części Europy i w zachodniej. Chodzi mi przede wszystkim o dorobek innego rodzaju. Co drugi rok odbywa się w Zielonej Górze sympozjum i wystawa „Złotego Grona”. Jest to impreza ogólnopolska, której od początku patronował zmarły niedawno prof. Juliusz Starzyński. Zarówno w wystawach problemowych, jak i w sympozjach bierze zawsze udział czołówka najwybitniejszych artystów plastyków i historyków sztuki.

Coroczne plenery w Lagowie Lubuskim, organizowane przez Zarząd Okręgu ZPAP, są przedłużeniem zielonogórskich dysput, bo nie tylko o malowanie tam chodzi. Właśnie w tej uroczej miejscowości letniskowej, a w przyszłości także uzdrowiskowej, zrodziła się tzw. „Karta Lagowska”, której główną ideą jest łączenie wysiłku architektów, urbanistów i ludzi chroniących naturalne środowisko człowieka z równoprawnym udziałem artystów-plastyków już w momencie rodzenia się założenia i projektu. Można więc śmiało stwierdzić, że zielonogórskie środowisko plastyczne zaznacza swoją obecność nie tylko przez własną twórczość, ale także przez działalność koncepcyjno-organizatorską dla całego Związku.

Podobnie można by powiedzieć o środowisku literackim. Niedługo Zielona Góra miała tylko kilku wierszokletów uprawiających tzw. Heimatliteratur, nie odgrywających żadnej roli nawet w faszystowskiej Rzeszy. Kiedy w Republice Federalnej Niemiec kłamliwie pisano o pustyni kulturalnej na ziemiach zachodnich, zaczęły właśnie ukazywać się pierwsze książki zielonogórskich pisarzy i naukowców.

Ujawniali się oni spośród nauczycieli, dziennikarzy, ekonomistów i inżynierów, byli więc jak gdyby samorodkami. Irena Dowgielewicz zasłużyła na nagrodę państwową ministra kultury i sztuki III stopnia, Zbigniew Ryndak i Zygmunt Trzaska otrzymali nagrody im. Stanisława Pietaka. Obaj ci autorzy, a także mieszkający obecnie już w Lublinie Tadeusz Jasiński oraz Janusz Koniusz, Tadeusz Kalan, Zdzisław Morawski — którego dramaty wystawiają liczne teatry — Janusz Olczak, też na wpol lublinianin, oraz Andrzej Krzysztof Waśkiewicz, to laureaci licznych ogólnopolskich konkursów literackich na powieści, zbiór opowiadań bądź esejów. Jest to środowisko bardzo dynamiczne, publikujące swoje utwory oraz publicystykę również w ogólnopolskich czasopiśmie, nie tylko w dwutygodniku „Nadodrzu”.

Niepełny byłby obraz Zielonej Góry współczesnej, gdyby nie wspomnieć chociażby o pozostałych stowarzyszeniach i szkolnictwie wyższym.

Już w roku 1957 powstało Lubuskie Towarzystwo Kultury, które jest federacją towarzystw regionalnych w poszczególnych powiatach, bądź nawet mniejszych miasteczkach, czasem nawet na wsi. Nie tylko jednak upowszechnieniem dóbr kultury zajmowało się LTK przez minione osiemnaście lat. Ono właśnie od początku było wydawcą „Nadodrza” i firmuje je do dzisiaj, chociaż edytorem jest od 1959 roku Zielonogórskie Wydawnictwo Prasowe. Przy tym stowarzyszeniu ukształtowała się oficyna, która umożliwiła drogę do Związku Literatów Polskich niejednemu pisarzowi, dała możność publikacji naukowcom, skupionym wtedy przy Ośrodku Naukowo-Badawczym LTK, który od lat — pod prezesurą prof. dr. Jana Wasickiego z Uniwersytetu im. A. Mickiewicza w Poznaniu — działa jako Lubuskie Towarzystwo Naukowe, i wydała książki naukowe pod własną firmą. Ponadto Lubuskie Towarzystwo Muzyczne im. Henryka Wieniawskiego stało się swoistym małym kuratorium, rozwijającym kulturę muzyczną w województwie zielonogórskim, prowadzącym ościsła muzyczne, które skupiała i takich, którzy kiedyś byłiby może Jankami Muzykantami.

Również tak znane już imprezy, jak Lubuskie Lato Filmowe oraz Międzynarodowy Festiwal Folklorystyczny Zespołów Pieśni i Tańca, zrodziły się w zespole działania czynnika społecznego oraz władz kulturalnych i politycznych miasta i województwa.

W kulturalnym zagospodarowaniu Zielonej Góry odegrało także swoją rolę środowisko dziennikarskie. Nie chce już pisać o codziennym informowaniu czytelników i słuchaczy w prasie i radio, o publicystyce, bo to sprawy oczywiste. Ucieleśniała się natomiast piękna inicjatywa „Gazety Zielonogórskiej” pod nazwą: „Lubuska droga do uniwersytetu”. Najpierw dzięki uniwersyteckim i politechnicznym w Poznaniu, Wrocławiu i Szczecinie powstało i działało 12 punktów konsultacji tych dla studentów zaocznych o różnych kierunkach. Obecnie rozwija się od kilku lat Wyższa Szkoła Inżynierska i Wyższa Szkoła Pedagogiczna z pełnymi prawami akademickimi.

Po trzydziestu latach od wyzwolenia Zielonej Góry można śmiało skonstatować, że po ponownym powiązaniu naturalnymi więzami z całą ojczyzną miasto to nie tylko gospodarczo odżyło i rozwinęło się, ale w tym samym stopniu rozkwita także w dziedzinie kultury.

NA miejscu opowiedziano mi dowcip: Mieszkaniec Słupska czyni spowiedź generalną. Długa wyleża swoje przewinienia, wreszcie milknie jakby zażenowany.

— Wszystkie grzechy już wymieniłeś, synu? — pyta ksiądz.

— Mam jeszcze jeden, ciężki — odpowiada człowiek.

— Wiecej wymień go!

— Urodziłem się w Koszalinie, proszę księdzka!

— Ależ synu to nie jest grzech, to jest wady!

Byłem więc w Słupsku, który wespół z Koszalinem jest jedną z kilku par miast w Polsce, ciachaczem konkurujących o prymat w województwie. Koszalin to wprawdzie stolica województwa, ale Słupsk liczy więcej mieszkańców (ponad 80 tysięcy), zaś sława i chwala słupskiej gastronomii, szczególnie karczmy „Pod Kluką”, dawno już znana podniebieniem najwybitniejszych smakoszy krajowych (że nie wspomnę na razie o zagranicznych): Jerzego Waldorffa, animatora zresztą Festiwalu Pianistyki Polskiej w Słupsku, Mieczysława Pawlikowskiego — „Zagłoby”, Jaremy Siewpowskiego, Ludwika Sempolińskiego, Igora Smiałowskiego, Beaty Tyszkiewicz, Ireny Jarońskiej, Bogusza Bilewskiego, Szymona Kobylńskiego oraz pana Jerzego Kluki z siostrą Ewą (oboje z Bielska-Białej).

Władze Słupska emablują swych gastronomików, którzy ten gród na forum krajowym wstawili. Kiedy Jan Czarnecki, nestor słupskich mistrzów kucharskich, nauczyciel pokoleń szefów kuchni, otrzymał nagrodę miasta Słupska, to stał obok Jerzego Waldorffa, który otrzymał podobną nagrodę. „Kucharstwo jest sztuką” — twierdzi Jan Czarnecki. Społeczność słupska ceni swych gastro-

NA GŁOWIE

nomików. Dyrektor Tadeusz Szoldra, szef słupskiego oddziału WPPG i animator sukcesów słupskiej gastronomii, został w Słupsku wybrany „człowiekiem roku 1974”, o czym nawet doniesiono w dzienniku TV. Ze strony społeczności słupskiej jest to miłość o tyle bezinteresowna, iż w porze obiadowej reprezentacyjne restauracje miasta („Pod Kluką”, „Słupska”, „Piracka”) świecą raczej pustkami, a i w porze wieczornych uciech komplety rzadkie. Wyjąwszy, oczywiście, okres sezonu, kiedy „Pod Kluką” formują się nawet kolejki śląskich turystów odwiedzających masowo Wybrzeże, oraz wyjąwszy może weekendy sobotnio-niedzielne w ciągu całego roku, kiedy zamożniejsi gdańszczanie snobizują się na słupskie lokale, a i miejscowi bardziej gastronomii przychylni.

Nieustającym natomiast publiczności radują się pijalnie wódeczki w rodzaju „Piekielka”, zwane w Polsce — „na setę i galarete”, zaś w Słupsku — ONZ, ze względu na... wysokie stolki. „Piekielko” zresztą nazywało się uprzednio „Myśliwska”, dopóki myśliwi się nie obrzili i zaprostestowali. Tylko czy takie przybytki mogą być siedliskiem sztuki kulinarnej, która łagodzi obyczaje?

Dnia 29 stycznia o godzinie 15-tej, jako klient absolutnie prywatny oraz incognito, wkroczyłem do restauracji III kategorii (alkohole według cen II kategorii) „Metro” i zastałem przyjemne pustki, a kelnerki na każde zawołanie. W karcie zadawia mnie zupa budapeszteńska, gulasz boerac, golonka po bawarsku i zurek słowiński. Zamawiam jednak najtańszy zestaw bonifikowany: właśnie zurek sł-



Bujane koniki w Słupsku.

Fot. J. Wojtkiewicz

wiński oraz mostek po wiedeńsku, za 15,80 zł całość. Zurek ujdzie choć zimnawy. Mostek nie ujdzie, bo zimny i niesmaczny. Wyjąwszy propozycje „zagraniczne” — krąjowa normalka pieczeniowo-schabowa.

Nazajutrz rozmawiam z wicedyrektorem słupskiego oddziału WPPG, Marią Wolską (dyrektor Szoldra wyjechał będąc do Moskwy, szerzyć słupską oświatę gastronomiczną). Dowiaduję się krótkiej historii miejscowych pomysłów kulinarnych, którą przytoczyć warto, bo można się czegoś nauczyć, choć początkowo wydawało się, że są to pomysły na nieco inną gastronomię, niż wyszło ostatecznie.

Początkowo parę ładnych lat temu, poszli na jałkość. Zeby nie octy, a naturalne zakwasy. Zeby nie konwencjonalne przyprawy, ale polskie ziola: tymianek, bazylię, lubczyk, mięta, piołun, czosnek, arcydzięgiel i tak dalej (do otrzymania w „Herbapolu”). Zeby surówek więcej. Zeby można było modernizować kanoniczne receptury z księgi „Kucharz gastronom”. Miał Jana Czarneckiego, który znał kuchnię europejską, więc oddał mu młode kadry. Równoległe stała kwestia kultury obsługi. Aż z Warszawy sprowadzali emerytowanych kelnerów, żeby ci uczyli, jak się nakrywa do stołu, jak bankiet organizuje, stół angielski... Wówczas to były nowości.

A kiedy zaczęła po Polsce „chodzić” moda na zakłady folklorystyczne, oni znów byli jedni z pierwszych. Budowali akurat bar samoobsługowy za miastem, mury już stały. Mała modernizacja wiezi dachowej pod krycie trzcina, dostawienie zaduszonego tarasu i zaczęła się wyłaniać karczma, której wystrój wewnętrzny i częściowo zewnętrzny oddali w ręce plastyka, Mariana Zielińskiego ze Słupska. On to zaprojektował te drewniane stoły, krzesła, ławy i powaly, wykorzystując motywy ludowe.

Powstała kwestia, co ma być folklorystycznym zwornikiem całości, jakimś akcentem nadrzędnym? Siegnęli do dawnych źródeł, skontaktowali się z etnografami i trafili na Słowińców, prastara grupę ludności pomorskiej spokrewnioną z Kaszubami, zamieszkała na ziemi słupskiej. We wsi Kluki jest skansen słowiński, gdzie podpatrzył trochę wzornictwa. W Bytowie, 50 km od Słupska, jest Dom Kultury a w nim kobiety potrafią szyć stroje Słowińców i one uszyły kostiumy dla kelnerek. Amator — metaloplastyk miejscowy zrobił miedzianą okładzinę do jadalospisów, jeden z garncarzy wrocławskich wykonał fikuśne naczynia do podgrzewania cocktaillu „Hu-hu”, znakomite mieszanki ziół, miodów, soku malinowego, sporządzonej

ciężka kuchnia słupska jest w dużym stopniu właśnie kuchnią turystyczną, sezonową, co nie znaczy, że powinna być wyłącznie takowa.

W 1972 roku ruszyła restauracja „Piracka”, zlokalizowana w nowym typowym pawilonie, lecz wewnątrz opracowana przez Mirosława Jarugę, również słupskiego plastyka — na wzór marynistyczny. Przed lokalem stoi stare czółno i leży duża kotwa. Znowu zadbanie, żeby były specjalne potrawy, szczególnie w ostrych sosach, pikantne zupy, dziczyzna, z którą w zalesionym województwie koszalińskim nie ma kłopotu, byle amator-klient się znalazł.

Tak więc kuchnia słupska poszła do przodu i tak miało być nadal, choć już nie bez pewnych kłopotów, lokalnych i ogólniejszych. Na razie były nowe pomysły i nowe realizacje. Zeby mordownie „Zacisze” przemienić na specjalistyczny zakładzik drobiarski. Zeby kawiarnię „Czar” uczynić beznikotynową. Włączyły się też inne pionierzy gastronomiczne. Jeśli w „Tunku” („Centrala Rybna”), to głównie smakowite rybki. Jeśli w „Piotrusiu” (WSS), to przede wszystkim golonka. Zanosilo się na to, że kuchnia słupska zrealizuje model żywienia oparty na zakładach specjalistycznych, gdzie klient mógłby dostać dania unikalne, do których by przywykł, wiążąc je i swoje upodobania kulinarne z konkretną restauracją. Dania nie koniecznie drogie lecz „interesujące” smakowo. I stałe.

Ten specjalistyczny charakter zachowała dotąd z pewnością karczma „Pod Kluką”, choć marze teraz inne. Do „Pirackiej” udałem się głębokim popołudniem. Przywitał mnie kelner bez przepaski na oku ale w konwencjonalnym garniturku z czarnej elano-bawełny. W karcie normalka pieczeniowo-schabowa i na okrasie: pikantna zupa rybaczka (danie półmiesne, 9,30 zł), barszcz marynarski (5,10 zł), zraziki pirackie (27 zł). Podobno



„Pod Kluką”.

Fot. J. Wojskiewicz

handlu „Ratio 72” w Lipsku, gdzie zrobiły tak zwaną furorę, szczególnie że wszyscy uczestnicy wystawy wyszli z folklorystycznym wystrojem restauracji. Posypały się dla karczmy słupskiej zamówienia zagraniczne ze wszystkich części świata, ale głównie od Niemców. Wnętrze istotnie prezentuje się znakomicie, było też eksponowane w ubiegłym roku na wystawie osiągnięć polskiej gospodarki w Pradze i na pniu przez Czechów zakupione. Dzisiaj stolarnia dyrektora Szoldry przynosi czterokrotnie więcej zysku niż cała kuchnia słupska, wiążąc w to kuchnię ustecką. W ubiegłym roku otwarto w Słupsku właśnie karczmę „Słupską”, drugi po „Kluce” zakład konsekwentnie utrzymujący specjalizację oraz inność jadłospisu, a zarazem jedyny w mieście zakład I kategorii (bo „Piracka” i „Pod Kluką” to kategoria II).

Jedni mówią, że pomysł na wystrój wnętrza karczmy słupskiej, jako pewnego modelu, to dzieło dyrektora Szoldry, daleki jedynie krewny wystrój „Kluki” i „Pirackiej”. Mirosław Jaruga, plastyk miejski, który robi, co może, żeby się miastu plastycznie przysłużyć, powiada: „Cały pomysł karczmy słupskiej jest mojego autorstwa, od koników po motywy wozu przy barze i meble. Jako autor pojechałem zresztą na Ratio 72. Ale nagrodę dostała kuchnia. Każdy projekt lokalu gastronomicznego, szczególnie karczmy słupskiej, to jednorazowe niepowtarzalne dzieło plastyczne, mogące być przedmiotem sporu prawnego. Powielanie i modernizacja takiego dzieła nie może się odbywać z pominięciem autora.”

Trudno mi zająć zdecydowane stanowisko w tym sporze. Nie mogłem bowiem wysłuchać zdania drugiej strony — dyrektora Szoldry. Wystrój czerpie z najrozmaitszych motywów ludowych, ale widać jakąś organizującą całość myśl plastyczną. Szkoda by było wszakże, gdyby się ta piękna sprawa rozmasowała w sporach ambicjonalnych i finansowych. Z jednym się zgodzić trzeba — nad pracami stolarni gastronomicznej w Słupsku musi czuwać plastyk-fachowiec. Aktualnie wewnątrz „Pirackiej” — rozryw między charakterem mebli a resztą — podpowiada taką konieczność.

Jaka jest w końcu słupska kuchnia? Żyje podobnymi sprawami, co i cała kuchnia polska. Twierdzą miejscowi, że do 1948 roku samych restauracji liczył Słupsk blisko 50. Obecnie ma ich 12, 3 kawiarnie i 7 barów samoobsługowych, także 2 bary mleczne. Na tysiąc mieszkańców przypada 28 miejsc konsumpcyjnych (średnia krajowa — 30 miejsc, średnia wojewódzkiego Lublina 33 miejsc). Porównajmy to choćby z Węgrami lub Czechosłowacją, gdzie jest tych miejsc ponad setkę przeciętnie!

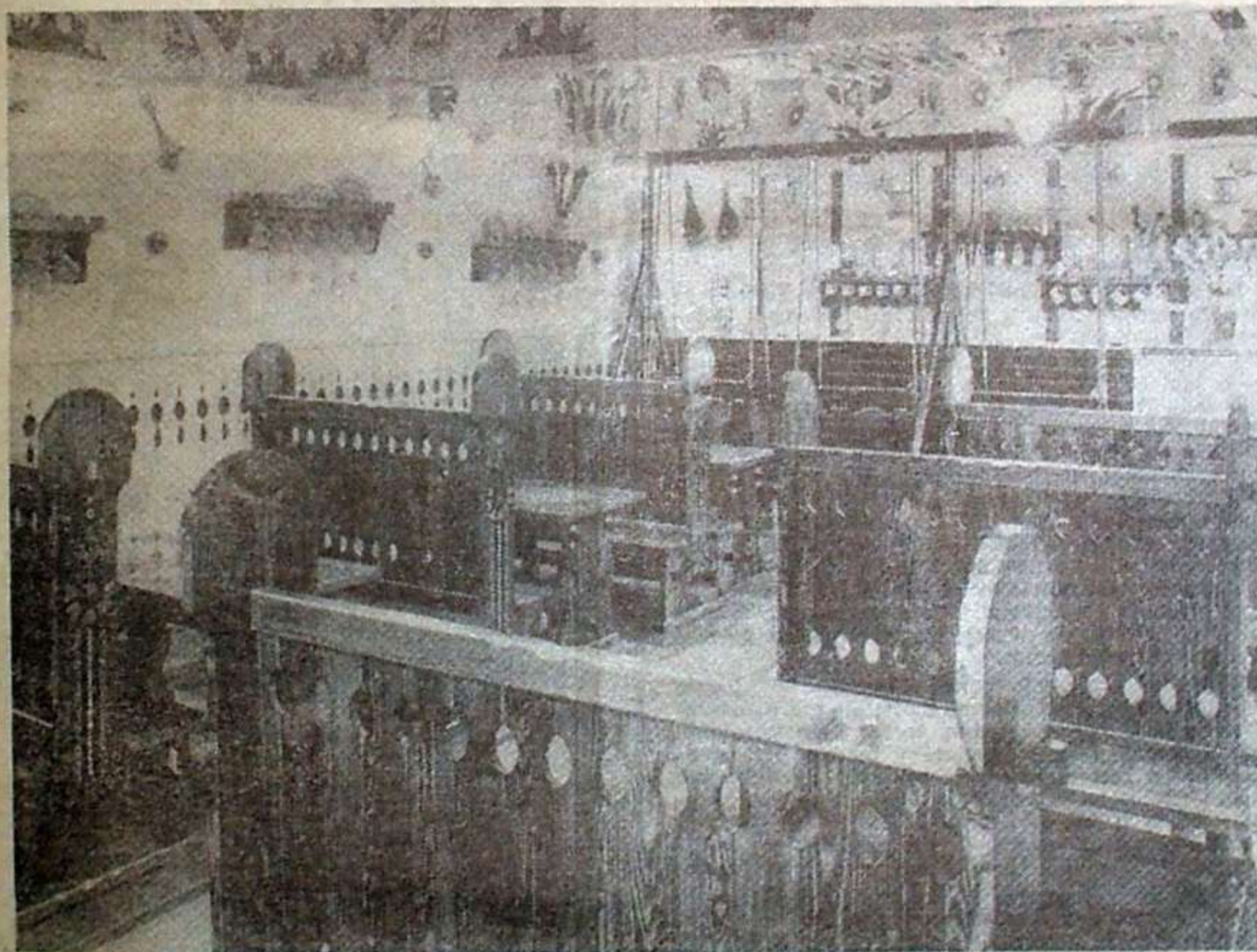
Taka sprawa mogłaby nawet martwić, gdyby nie fakt, że wprowadzony od lutego 1974 roku nowy system marż zmienił strukturę naszego żywienia zbiorowego. Klient indywidualny uciekł na codzienne obiady do stołówek pracowniczych. Gastronomia otwarta ratuje się najrozmaitszymi zbiorówkami (bankiety, wesela, wycieczki...), posiłkami regeneracyjnymi dla zakładów pracy, produkcją do detalu oraz, niestety, wysokimi obrotami alkoholem w niezbyt wysokich lotach knajpekach (zawsze to lepiej niż w bramie!). Do większych i bardziej eleganckich restauracji Polak przychodzi na jakiś bardziej uroczysty obiad rodzinny czy koleżeński, weekendową kolację lub obławianie interesów.

W Słupsku jest identycznie, a może jeszcze gorzej ze względu na dużą huśtawkę frekwencyjną między sezonem a pozostałą częścią roku (zresztą sezon bywa tu także dobrodziejstwem dla obrotów). Nie będąc przykładem rozwiązania ogólniejszej sytuacji gastronomicznej w Polsce, stanowi jednak kuchnia słupska znakomity przyczynek do właściwego ustawienia gastronomii właśnie sezonowej, turystycznej. A ponadto gastronomii specjalistycznej z prawdziwego zdarzenia. Te twarde ławy i stoły z prostego drewna, te cebule i ziola wiszące u pulapu, te polewki i zrazy, ten wykwintny prymitywizm, coś specjalnego, osobliwego i ekstra...

Jerzy Waldorff napisał w książce pamiątkowej „Kluki”: „Kiedy umrę, chciałbym zamiast do nieba pójść do karczmy „Pod Kluką”. Ja natomiast chciałbym dożyć, iżby w Polsce powstała masowa sieć taniej, prostej, szybkiej a zarazem smacznej gastronomii otwartej, choćby wzorem grill-barów w Pradze. Na razie — ponieważ gastronomia to nie jest najbardziej pierwszorzędne zadanie ekonomiczne, ludzie zaś wolą oszczędzać na samochody, mieszkania i wycieczki zagraniczne — cieszymy się, że istnieje coś tak unikalnego jak słupska kuchnia, choćby się to chwilowo wydawało postawieniem sprawy na głowie.

ZE SMAKIEM

Maciej Podgórski



Karczma Słupska na Ratio 72.

Fot. Claus

według pomysłu słupskich gastronomików. Siegnęli do strzępów XIX-wiecznych ksiąg kucharskich, do przepisów Reja, Paśka nawet. Ustalił receptury, które mistrz Czarnecki przepracował, i nazwał po swojemu: „kotlet po rozum do głowy” (bo z udziałem mózdzku), bądź w nawiązaniu do miejscowego folkloru: „zraz słowiński”, „polewka smoldzińska” od wsi Smoldzino, zamieszkałej przez ludność słowińską (te polewki nazywają też „kwasówką”, a w pewnych kregach nawet „kacówka”, jako że doskonale leczy, sporządzona na wywarze z kości i soku z kapusty). No i, oczywiście, przyprawy ziołowe.

„Wszystko to na zasadzie: coś odtworzyć, coś stworzyć” — jak powiada dyr. Wolska. W ten sposób powstała karczma „Pod Kluką”, uruchomiona w 1969 roku, i prasa krajowa zaczęła pisać o gastronomii słupskiej. A trzeba wiedzieć, że nazwa karczmy wywodzi się nie tyle od wsi Kluki, ile od słowa „kluka”, czyli laska słowińskiego soltysa, która przekazywana od zagrody do zagrody miała zwoływać wiejską społeczność na ogólne zgromadzenia. Autentyczną klukę posiadają w karczmie „Pod Kluką” i pokazują na żądanie gości. I w ten sposób fakty kulinarne przeradzają się w fakty polityczne, dokumentując turystom zagranicznym naszą zadawnioną obecność na tych ziemiach, a prze-

czasem serwują też klopsiki bosmańskie, dziczyznę, na którą mało amatorów, i wolowinę... po żydowsku. Tak wyglądałaby marynistyka kulinarna, zresztą zakład jest obecnie restauracją szkoleniową. U sufitu podwieszono modele starych okretów, ściany malowane w krwiste motywy morskie, lecz mebelki z wzornictwem ludowym, tylko oparcia krzesel w kształcie ogonów rybich. Na sali pusto przygotowują się do przyjęcia dwu zbiorowych grup konsumentów. Jakis pijaczek kraży po lokalu i trudno go się pozbyć, pewno przywedrował z sąsiadującą przez ścianę „Pirackiej dla ubogich” — jak by ja można było nazwać — rodzaju „samosi” alkoholowej, która wiecznie pełna i która ratuje obroty „Pirackiej”. Dowiedziałem się, że poprzednie meble powędrowały z „Pirackiej” do... Lublina i stoja w „Fafiku”. (Faktycznie stoja i rozlatują się — jako jedyny dowód, że „Fafik” jest, szumnie zapowiadana przez lubelskich gastronomików, karczma... słupska!).

Zresztą meblarstwo słupskiej gastronomii to osobny rozdział, chluba dyrektora Szoldry. Zaczęli od ekipy remontowej stolarzy, która jednak była w stanie wykonać projekty Zielińskiego i Jarugi, nawet nie potrzebowali unikalnych gatunków drewna. Impreza była już mocno rozkręcona (jedyny produkcyjny zakład stolarski przy WPPG w Polsce), zainteresowało się MHIU i słupskie meble pojechały na międzynarodową wystawę osiągnięć

PIERWSZY raz spotkaliśmy tych kędzierzawych brunetów już w Berlinie Zachodnim, przede wszystkim w dzielnicy Kreuzberg. Stali w grupkach, z butelkami piwa w ręku. Niektórzy zajadali ciepłe parówki z musztardą, które serwował właściciel baru, podając je na kartonowych tacach zgromadzonym na placu. Tu i ówdzie stały kobiety o kruczonych włosach z dziećmi noszące się i wyglądające podobnie, jak nasze Cyganki. Zapytałem znajomego Niemca: „Kto oni?” „Turcy. To są Gastarbeiterzy” — odpowiedział.

Jakże Kreuzberg różni się od nieodległej, głównej ulicy miasta — państwa, jakże jest inny od bogatej w złotnicze sklepy, zasobne domy towarowe, w zamożnie ubranych przechodniów Kurfürstendamm! Niedaleko serca miasta tworzy się swoiste tureckie getto, a corocznie przybywało tam dotąd siedem tysięcy osób z za Bosforu. Do samego Berlina Zachodniego. A przecież w Republice Federalnej Niemiec, do czasu jesiennego kryzysu energetycznego w 1973 roku, który spowodował czasowy zakaz ich napływu, strumień ten liczył dziesiątki tysięcy rocznie.

W Berlinie Zachodnim w samych tylko zakładach Siemensu pracuje 4500 Turków. Wielu Niemców jest przeciw ich obecności w tym mieście, inni żądają od Senatu wstrzymania przynajmniej napływu dalszych imigrantów. Senatorzy odpowiadają im dramatycznie: Berlin Zachodni bez cudzoziemskich robotników umrze! No, bo wielu zachodnich berlińczyków emigruje do RFN. Widzą sztuczność życia w tym mieście, ponadto mimo wszystko ograniczone szanse rozwoju dla siebie, a przede wszystkim dla dzieci. Ci, którzy trwają, dzieci rodzą niezwykle mało. Potrzebne więc są liczne i tanie ręce do pracy, a w tym wypadku najlepsze są cudzoziemskie. Ludzie znajdujący się w trudnej sytuacji materialnej i w dodatku na łasce wybrzydzą o wiele mniej i rzadziej niż robotnik RFN-owski.

siębiorem aż 18—20 proc. produkcji, a przysparzają jeszcze większych zysków. Żyją w skupiskach, z tego powodu nie poznają należycie albo wcale języka niemieckiego. Nie mogą więc korzystać z kultury, mają wiele wolnego czasu, pracują w nadgodzinach, by więcej zarobić. W związku z tym plac państwu wyższe podatki. Boją się chorować, nie korzystają więc z zasiłków chorobowych, byle uchodzić za zdrowych. Zresztą zezwolenia na pobyt i pracę wydawano jedynie mężczyznom w wieku 20—45 lat i to ludziom zbadanym, zdrowym. Pracodawca nie musi więcłożyć na ich potrzeby socjalne. I dlatego też są o wiele tańsi od robotnika niemieckiego.

Przedsiębiorcy drobni i więksi (a tym bardziej koncerny) nie wykazaliby swojej natury, gdyby takiej sytuacji nie wykorzystali wobec robotników niemieckich, szczególnie teraz, gdy notuje się około 600 000 całkowicie bezrobotnych, a razem z pół zatrudnionymi liczbą ta ma do wiosny zbliżyć się do miliona. Oczywiście kolejne redukcje w pierwszej kolejności stwarzają zagrożenie dla Gastarbeiterów. Jednak, jak się dowiadujemy, ostatnio coraz bardziej niepewny czuje się i robotnik niemiecki. Przedsiębiorcy dają do zrozumienia słownie i faktycznie tym swoim złomkom, którzy angażują się przeciw nim w działalność związków zawodowych, albo z innych względów niewygodnym politycznie, że przecież można zwolnić właśnie ich i zastąpić cudzoziemcami. Dawniej udawało się tych obcych — łapczywych na robotę — użyć nawet jako lamistraszków, z czasem jednak pojęli oni, że przynosi to tylko krótkotrwałe korzyści. W strajkach 1973 i ubiegłego roku cudzoziemscy robotnicy, szczególnie Turcy i Jugosłowianie, szli już ramię w ramię ze swoimi niemieckimi współtowarzyszami. Na przykład w „Opplu” w Bochum, czy u Kruppa w Kolonii byli nawet przewodnikami. Pracodawcy, trzymając teraz bicz bezrobocia, sta-

ZAPISANE MIĘDZY ŁABĄ A RENEM (2)

Gastarbeiterzy

Tadeusz Jasiński

Turcy żyją niezwykle skromnie, bo nie czują się nad Sprewą zbyt pewnie, a ponadto chcą jak najwięcej zaoszczędzić. Ulice na Kreuzbergu, które zajmują, nigdy nie były zbyt piękne, ale teraz straciły jeszcze bardziej. Przybysze przywieźli tu swoje zwyczaje, obyczaje, ale także inne porządki. Całe rodziny wystają przed domami, na chodnikach i ulicach — jak byli tego zwyczajni u siebie na wsi i małych miasteczkach. Dyskutują godzinami w niezrozumiałym i głośnym języku. Wyśpiewują zawodząc gardłowo, jęklive pieśni. Wielu nobliwych Niemców to razi. Wyprowadzają się z tej dzielnicy. Tak więc Kreuzberg stała się Górą Krzyżową także dla władz miasta. Senat postanowił do 1978 roku wydać 86 mln marek na szkolenie w języku tureckim i niemieckim, na przedszkola, place zabaw itp.

Potem, w czasie dalszej podróży, już w samej RFN, mogliśmy się przekonać, że sprawa ma się tam podobnie, jak w mieście zamkniętym — Berlinie Zachodnim, tyle, że w państwie między Łabą a Renem mimo wszystko łatwiej było przed kryzysem rozwiązać ten narastający problem. Jesienią 1973 roku, w momencie zamknięcia granic dla robotników cudzoziemskich z powodu kryzysu energetycznego i pojawiającego się wtedy początku większego bezrobocia, legalnie w RFN przebywało około 4 500 000 robotników cudzoziemskich. Te dane utrzymują się w zasadzie do chwili obecnej. Około pół miliona pracuje tam nielegalnie. Są to ludzie najbardziej wyzyskiwani, nie mający żadnych praw. Pracodawca ryzykuje wiele, grozi mu kara, ale tym bezwzględnie żąda za niską płacę pilności, posłuszeństwa, wydajności. Z częścią robotników, szczególnie tureckich, przyjechało ponad milion żon i dzieci. Legalnie jednak przebywa w RFN 2 500 000 mężczyzn i 1 500 000 kobiet. Najwięcej, bo około milion, pracuje tam Turków i Turczynek, następnie też Jugosłowianie, Włosi, Grecy, Hiszpanie i Portugalczycy. Trochę jest Marokańczyków i Tunezyjczyków, a od czasu wejścia Wielkiej Brytanii do EWG pojawiają się także inni Afrykanie i Azjaci. Jedna trzecia obcych robotników pracuje w Północnej Nadrenii — Westfalii. Inni, rozproszeni po kraju, są przede wszystkim zatrudnieni w budownictwie i przemyśle metalowym. Prawie nigdzie nie widzieliśmy Niemca sprzątającego ulice lub wykonującego jakiegoś innego ciężkiego, albo nie uważanego za zbyt honorowe zajęcia. Podejmują się tego właśnie Turczynki oraz ci robotnicy przyjezdni, którzy z jakichś przyczyn nie uzyskali pracy gdzie indziej.

Statystyki potwierdzają to, co mówili mi rozmówcy zbliżeni do przemysłu. Cudzoziemcy stanowią co najmniej 10 proc. ogółu zatrudnionych w RFN i Berlinie Zachodnim, ale przynoszą przed-

rają się więc szantażem i intrygą skłócić napływowych i miejscowych, by tę rodzącą się solidarność złamać.

Prasa brukowa i niektóre rozgłosne RFN, wysuwają hasło: „Niemcy tylko dla Niemców!” Pojawiają się postulaty, aby robotnik cudzoziemski nie mógł w RFN dłużej przebywać i pracować niż 5—7 lat, że powinna się dokonywać nieustanna wymiana przybyszów. A już w każdym razie należy zakazać przywożenia rodzin i osiedlania się ich w RFN na stałe. Nie trzeba będzie wtedy obcojęzycznych szkół, nie trzeba będzie rozwiązywać wielu problemów komunalnych, wreszcie nie będą narastać uprawnienia rentowe, a pracodawcy i kraj uzyskają większe zyski. Miło to brzmi dla przedsiębiorców, ale wiedzą oni i to, że nowi przybysze niczego nie potrafią, że trzeba ich dopiero uczyć zawodu, obsługiwanie drogich maszyn, szkoda więc pozbywać się wyszkolonych i wciąż jeszcze wydajnych robotników.

Niektórzy wysuwają ponadto problem mieszania się niemieckiej krwi z obcą. Rodzi się sporo terminem Rasenschande (zhańbienie rasy), by nie być poświadczonymi o rasizm, ale sens pozostaje przecież ten sam. Jeszcze inni propagują hasło eksportu kapitału do tych właśnie krajów, które nie potrafią swoim narodom zapewnić pracy. Tam, na miejscu, np. w Turcji i Grecji, ręce te byłyby jeszcze tańsze.

Przeciw skłóceniu między robotnikami niemieckimi, a obcymi występują DKP — Niemiecka Partia Komunistyczna, postępowi działacze związków zawodowych i z SPD. Niemiecscy komuniści głoszą wręcz:

— Niech robotnik niemiecki nie widzi w swoim koleźce, robotniku cudzoziemskim, swego wroga! Proletariusze nie mogą być sobie nieprzyjaciółmi. Ich wspólnym przeciwnikiem są wielkie koncerny, które osiągnęły nadmierne zyski z ich pracy. Zawsze kazano nam kogoś nienawidzić. Strzeżmy się tego, bo to odwraca uwagę od rzeczywistych przeciwników!

Wielokrotnie widzieliśmy wypisane na płótnach transparentów hasło: „Niemiecscy i cudzoziemscy robotnicy walczą wspólnie!” Gazeta DKP „Unsere Zeit” napisała: „Ekonomiczne, socjalne i polityczne interesy klasy robotniczej kształtują się w jedności, dlatego robotnicy cudzoziemscy muszą otrzymać większe prawa polityczne, także w reprezentowaniu ich interesów socjalnych i gospodarczych”.

Jest to jednak głos internacjonalistów, chociaż — bądźmy sprawiedliwi — podobnie myśli spora część społeczeństwa zachodniemieckiego. Równocześnie jednak wielu obywateli RFN-u doznaje szczęśliwości: nareszcie mogą kogoś nienawidzić! Rozszerzające się bezrobocie i wzrost cen pogłębiają ten proces. Jest to zjawisko niebezpieczne, bo budzi znowu najniższe instynkty ludzkie.

WŁOCHY W ZBIGNIEW



Forum Romanum — największe zachowane do dziś resztki tytmusza Sewera zbudowany w r. 203.



Neapol — „Piazza Plebiscito”.



Neapol — zamek, była rezydencja neapolitańskich królów do Neapolu nieistniejącego.

EKTYWIE UGAJA



...rożytnej w Rzymie. W środku Luk Sep-



Pompea — Forum Obywatelskie.



... w 1719-83 przez Karola Andegawena, ścigający
...urystów z całego świata.

ZE stacji metra Earls Court w centralnym Londynie można było wychynąć długimi, polyskliwymi od światła i stęchłymi od odpadków korytarzami wprost do samej sali. Mnożyły się te korytarze i przecinały, gięły i obrastały odnogami tworząc świetlisty, podziemny labirynt. Z setek wielkich plakatów, rozlepionych na białym wolnym skrawku kamiennych ścian, spoglądała na nas twarz mężczyzny o mocno wysuniętej szczęce, silnych, głębokich oczach i łaskawym uśmiechu. Gwar, jak z wielkiego rozbulgotanego kotła, ukrytego gdzieś niżej pod ziemią, narastał regularnie i rytmicznie, a kościół zamykał dziesiątki wielkich dębowych drzwi, od których rozbiegały się w górę i w dół zawijasy schodów. Długi czas błądziłem przed tymi drzwiami; wszystkie pozostały zamknięte i dopiero zapóźniona grupka młodych ludzi wywiodła mnie wprost na balkon, między półokrągłe rzędy miękkich pilśniowych krzeseł.

Earls Court Arena, wielka hala wystawowo-widowiskowa, otworzyła się moim oczom, opasana wokół jarmarczonym gwarem stoisk płytowych, książkowych, kiosków, bufetów, budek z lodami i pocięta zawijasami balkonów i galerii, wiszącymi ciężko w tej akustycznej, nieprzytulnej atmosferze pośpiechu i mistyfikacji.

W to piątkowe popołudnie wypełniła ją kilka tysięcy ludzi, w przeważającej części młodych i długowłosych, wytwornie nieporządnych i autentycznie obszarpanych i zabiedzonych. Wśród nich — zagubieni nieliczni starsi, a nawet starzy. Zmęczony wędrówką polabirynicie, oszołomiony nagłym gwarem i ruchem usiadłem tuż przy krawędzi balkonu, na wprost obszernego podium, zagraconego kablami, mikrofonami i sprzętem muzycznym i garstką ludzi mówiących jednocześnie z szerokimi gestami rak i wyginaniem ciała. Nad podium zawieszono dwa ekrany, które przekazywały wydarzenia ze sceny, wokół piętrzyły się mocne reflektory, a na wprost nich ustawione były rzędy krzeseł tych najwierniejszych, najbardziej zaangażowanych. Między krzesłami uwijali się chłopcy z programami w ręku i małymi żółtymi znaczkami rozpoznawczymi.

Teraz jakaś szwedzka grupa muzyczna, w żółto-niebieskich strojach, zaintonowała pieśń o Jezusie, o żenująco prostych słowach i melodyce. Wielki tłum dręnął. Kiedy Szwedzi rozpoczęli pieśń czwartą, a energiczny, ukrawaony konferansjer wezwał salę do śpiewu, w szklaną, stożkową kopułę dachu wystrzeliło tysiące rąk, oczu i głosew. Falował pod nami ten pióropusz wygiętych ramion, nierówny śpiew uderzył mocno w spotniałe powietrze, a mnie ogarnął niepokój. Od falującej masy ciał oderwała się nagle stara, siwa kobieta i w szerokim przejściu między rzędami krzeseł zaczęła tańczyć szalony taniec, wyginając ciało jak w konwulsjach i przysiadując. Przede mną młody człowiek wyciągnął błagalnym gestem ręce ku górze i śpiewał z uduchowioną twarzą cały czas kręcąc spazmatycznie głową, jakby nie dowierzał temu co go spotyka. Wraz z psychozą tłumu, narastał mój niepokój, wielka przestrzeń odbijała kłaśnięcia rąk i ostre dźwięki, a od roześmianego konferansjera i

handlujących sprzedawców zerkąła na mnie wielka mistyfikacja.

Bardzo mocny to był moment, kiedy wszyscy na dole, z podniesionymi rękami, zamarli nagle w bezruchu, a wyczerpana staruszka osunęła się na podłogę.

Patrząc w dół na niewidzące twarze myślałem, po co tu przyszedłem. Znajomy Anglik, od którego dostałem wejściówkę, powiedział mi, że znajdę tam wiarę i że ludziom przystoi czynić dobrze. Dylematy religii były mu jednak obce. Obce były mu także doktryny społeczne.



Trudno jest zdefiniować „ruch Jezusowy”, jak trudno zdefiniować młodzieżową subkulturę w ogóle. Mieszają się te odłamy, chodzą własnymi ścieżkami, a brak programu i jednoznacznego odbicia w trwałym dorobku kulturowym uniemożliwia generalizację. Źródło ruchu to run na kulturę hinduską i wieczna potrzeba identyfikacji. Przyklejeni do jakiegokolwiek bądź ideologii, wypełniają sale koncertowe i śpiewają o Jezusie, podają sobie ręce na znak pokoju, wciąż tak samo odlegli od żywotnych, palących spraw swego świata. A anglo-amerykański Guru buduje nowe biura i zakłada stacje radiowe.

Po chwili zniechęcenia tłum rozsypał się bezładnie pełen gorączki i opadł na krzesła. Kiedy na mównicy stanął Billy Graham, nie mogłem nie skojarzyć tej sali z wielkimi opitymi halami Monachium, czy Norymbergi sprzed czterdziestu lat. Głos wielkiego biznesu ubrany w liturgiczne szaty wiary rozpoczął orację. Mocna, energiczna twarz mężczyzny z plakatów zapaliła się na dwóch bocznych ekranach. Wziąłem od chłopca ze znaczkiem pięknie wydany program. Przed mównicą wykwitły kosze dali. Wierni zasemrali. Biblie uniosły się w górę.

Głos Mistra rozczarował mnie: był słaby i bez wyrazu. Atakował Kościół. Jego instytucje są tak samo skompromitowane, jak instytucje rządowe. Kościół dawno opuścił prawdziwą miłość tego świata i daleko odszedł od idei Jezusa. Tylko przez indywidualną przemianę można osiągnąć najwyższy stopień wtajemniczenia. Każdy powinien skupić się na sobie. Swoje cierpienie ofiarować wszystkim. Dużo jest cierpienia na świecie.

Na ekranie pojawiły się głowy głodujących dzieci Indii i Pakistanu, wyschłe na kamień pola, zalane wodą domy, szkielety ludzkie o nieprzytomnych, pełnych gorączki oczach. Technika bezustannie wspierała słaby głos Grahama, a tłum kolebał się niespokojnie. Ani słowa o Anglii. Ani słowa o Ameryce.

Z istoty rzeczy wynika potrzeba biernej kontemplacji. Trzeba wejść w siebie. Odrzucić bogactwo i utarte szlaki kariery. „Jeśli ktoś kocha Stary Porządek, nie ma w nim miłości. Bo wszystko, co jest w Starym Porządku — ciążenie ku fizycznym wygodom, ku materialnym dobrom, ku standardowi — nie jest z miłości, ale ze Starego Porządku. Człowiek bez miłości wciąż żyje w krainie śmierci”.

Spotniała twarz świeci blado w słabym świetle reflektorów. Tłum nieruchomy i bezszelestny. Jak łatwo go opanować. Jak łatwo sięgnąć po władzę nad nim.

Chcę kupić lody. Ekspedientka patrzy na mnie z oburzeniem. „Teraz, kiedy przemawia Billy Graham?”

W programie imprezy Billy nawołuje młodych ludzi do pracy misyjnej. Jedno z głównych wymagań wobec zatrudnionych: „Muszą całkowicie poddać się woli nowego pana”.

Na tle umierających dzieci Billy rozwoził się nad Starym Porządkiem: „Stary Porządek ze swoimi ciężarami upada, ale ten, kto zachowa miłość, wkroczy w Nowy Wiek. Więc nie dziwcie się bracia, że Stary Porządek nienawidzi was”.

Teraz niemal namacalnie wyczuwam nici porozumienia ciągnące od mównicy do niezliczonych punktów sali. Obszarpany młody człowiek obok nas wtulił głowę w ramiona. Gorączka sali potężnieje. W co uwierzyli? Czy uwierzyli? Wielkie oczy reflektorów zamierają. Burza oklasków i zbiorowe powstanie z miejsc. Billy mówił krótko. Ceni swoje słowa, jak Rolling Stones swoją grę. „Tyle wystarczy. Jak chcecie posłuchać jeszcze, kupcie płyty”.

Ręce splatają się w zjednoczeniu. Na estradę wychodzą kolejni wykonawcy. „Dał nam zapal” — mówi szesnastoletnia dziewczyna. „Hippiesi spalili się z nudy. My mamy swoje miejsce. Mamy zebrania i wiarę do niesienia między ludźmi. Dobrze nam razem”.

Opuuszczam Earls Court tym samym labiryntem podziemnych korytarzy. Z ogromnego kotła długo jeszcze goni mnie odgłos muzyki „Jezus żyje w mojej duszy...”

Billy wraca pewnie do wielopiętrowego biura na Camden Road.

Przeminięły dzieci-kwiaty i beatnicy, komuny i hari-krishna, na kolejnych falach konformizmu.

Wierni nie ustają w poszukiwaniu nowej drogi.

EDWARD BYCHAWSKI

DNIA 22 stycznia 1975 roku zmarł Edward Bychawski. Był jednym z najciekawszych twórców ludowych, intrygowal jako człowiek. Urodzony w 1905 roku, wczesne dzieciństwo spędził w Lublinie, następnie wraz z matką i trojgiem rodzeństwa mieszkał w Malochwieju. Na stałe zadomowił się w Borku w pow. krasnostawskim. Już w dwudziestolecie międzywojennym ujawniał skłonności do kowalstwa artystycznego z konieczności kuł jednak konie, wyrabiał narzędzia gospodarskie i rolnicze. W dobrym dniu swego życia spotkał Zygmunta Tokarzewskiego, organizatora muzeum w Krasnymstawie, człowieka wyjątkowo mocno i serdecznie związanego z regionem, z jego kulturą, z jego tradycją

historyczną. Tokarzewski skłonił Bychawskiego do poświęcenia większej uwagi kowalstwu artystycznemu, dokonał zakupów pierwszych prac do zbiorów muzeum. Szybko jaszczury, węże, lichtarze i igielniki twórcy z Borka zyskały szerokie uznanie, przynosząc jemu samemu znaczną popularność. Sprawilo mu to sporą satysfakcję. Chętnie korzystał z zaproszeń na kiermasze sztuki ludowej, zjazdy, seminaria i sympozja STL, gdzie — najwyżej w kularach — gromił pseudoludowość w kowalstwie, odstępstwa od tradycyjnej techniki. Miał przy tym jeszcze jeden ważny cel swego życia, który ciągle oddalał się w przyszłość, ciągle był nieosiągalny, a przez to pobudzający wyobraźnię i chęć działania. Przez dwadzieścia lat

zbliżał się do zbudowania maszyny, którą sam wykoncypował. W kuźni, którą otworzył w 1927 roku, wykonywał już części do swego wspaniałego marzenia. Interesując się techniką, Edward Bychawski był zarazem człowiekiem czule wsluchanym w rytm natury, który na zmierzające ląki wyrzucał zamglone dziwadła, upychał w komorach smutne stwory, podpowiadał artyście kształty kutych zwierząt. Pisano o nim często w prasie lubelskiej, ukazały się reportaże o Bychawskim w tygodnikach ilustrowanych, w „Trybunie Ludu”, na antenie lubelskiej rozgłosił radiowej. Niedawno otrzymał nagrodę im. Jana Pocha.

Edward Bychawski zmarł w następstwie wypadku samochodowego, odszedł przedwcześnie, w pełni rozwoju swego talentu.

(K)

Teatr bez teatru

Elżbieta Koltunowska

WIELU teatromanom lubelskim znana jest działalność „Studium Dramaturgii Współczesnej”, kierowanego przez Romana Kruczkowskiego. Ale nie wszyscy wiedzą, że owe „Studium” działające przy lubelskim SPATIF-ie, istnieje już pięć lat i może pochwalić się wystawieniem 35 pozycji dramatycznych, zarówno polskiej jak i zagranicznej.

Warto przypomnieć także, że kierownictwo „Studium” realizuje swoje ambicje założenia, aby na warszacie znajdowały się sztuki, które z różnych względów nie mogą być wystawiane na scenie teatru „normalnego” (sztuki — nie znajdujące się w repertuarze teatru, lub też niełatwe w odbiorze).

Świadczy o tym chociażby ostatnia inscenizacja w „Studium Dramaturgii Współczesnej”. Mam tu na myśli sztukę Eugene O'Neilla pt. „Zmierzyć długość dnia” w reżyserii Aleksandra Aleksiego. Premiera „Zmierzyć” odbyła się 6 października 1974 r. w lubelskim MPTK-u i do chwili obecnej sztuka tę wystawiono kilkanaście razy, m. in. w klubie studenckim „Medyk”, w klubie osiedlowym LSM-u. Przedstawienie cieszyło się ogromnym zainteresowaniem, co świadczy o niewatliwym sukcesie autora, reżysera i aktorów.

Autor — amerykański dramaturg (inscenizacja z pochodzenia) znany jest polskim widzom ze sztuk: „Pożądanie w cieniu wiązów”, „Zaloba przystoi Elektry”, czy „Księżyc świeci nieszczęśliwym”.

„Zmierzyć długość dnia” jest protestem O'Neilla przeciwko zmaterializowaniu życia w Ameryce. Ale czy autorowi chodziło tylko o protest? Społeczeństwo, które bez reszty angażuje się w pogonę za pieniądzem, niszczy talenty wybitnych jednostek, jałowicie, traci wszelkie bogactwa życia duchowego, przed czym O'Neill przestrzega rodaków.

Trzeba zauważyć, że nie jest to pierwsze spotkanie reżysera — Aleksandra Aleksiego z autorem „Zmierzyć”. O'Neill już dość długo intryguje go swoimi wnikliwymi analizami psychologicznymi. Zapewne wielu widzów pamięta Aleksandra Aleksiego w roli biednego farmera Phila Hogana w sztuce O'Neilla „Księżyc świeci nieszczęśliwym” (premiera odbyła się 10 grudnia 1969 r. w Teatrze im. J. Osterwy). Należy przyznać, że reżyser „Zmierzyć” wybrał trudną formę inscenizacji własną dla charakteru Studium Dramaturgii Współczesnej rezygnując z wszelkich elementów teatralnej rzeczywistości, a więc: scenografii, kostiumów, rekwizytów itp.

Jak więc wygląda ten „teatr bez teatru”?

Szczególnie trudną rolę mają tu aktorzy, bo przedstawienie właściwie polega na czytaniu tekstu przy siołkach. Akcja znacząca jest wejściami i wyjazdami aktorów — i to jest chyba jedyny, widzialny sposób przedstawiania ruchu w tym spektaklu. Reszta należy do aktorów! A reżysera niebagatelnie! Muszą oni bowiem głęboko angażować kłb w tekst, by słowem wydobyc momenty działania. Aktorzy, nie dysponując rekwizytami, markowali pewne czynności. Trzeba przyznać, że zdali jednak egzamin z tej niełatwej formy inscenizacji.

Jako ojciec, James Tyrone, wystąpił Aleksander Aleksy, który nie ograniczył się tylko do roli reżysera. Role matki, Mary Tyrone, wznoszącej i realistycznie zagrala Maria Karchowska. Ich starszego syna, Jamesa — Romana Kruczkowskiego, młodszego zaś, Edmunda — Henryk Sobiechart. W akcji biorą udział cztery osoby: rodzice i dwóch synów. Wszyscy są zmęczeni życiem i zalamanymi niepowodzeniami. W czasie trwania akcji próbują wysłuchać owe kłeski bohaterów, szukają przyczyn upadku.

Przy wymyśleniu nazwisk osób, które przygotowały przedstawienie, nie sposób nie wspomnieć o Stanisławie Pawluku — twórcy efektów dźwiękowych w postaci syreny i dzwonów, podkreślających najbardziej dramatyczne momenty w akcji. Dlaczego właśnie syrena pełni tak ważną funkcję w sztuce? Akcja sztuki toczy się w miejscowości portowej, gdzie zapewne słyszalny jest głos syreny, przestrzegającej przed mgłą. Mgła zaś jest niejako symbolem w sztuce, kojarzy się z bez nadzieinością i samotnością bohaterów O'Neilla.

W przedstawieniu widoczne są konsekwencje w realizowaniu założeń inscenizacyjnych reżysera, co również przyczyniło się do tego, że „Zmierzyć długość dnia” jest spektaklem ze wszech miar udanym.

Jak wynikało z dyskusji w niektórych klubach — widzowie wyrażali chęć obejrzenia tej interesującej sztuki na scenie Teatru im. J. Osterwy.

KIEDY przed paru miesiącami gościłam przez długi wieczór u Państwa Wyków w Krakowie, Profesor zwierzał mi się z najbliższych a także z dalekosygnnych zamierzeń naukowych i podróźniczych. Wspominał przyjaciół — pisarzy spotkanych za granicami kraju, ze wzruszeniem pokazywał mi dedykacje na ofiarowanych mu tomach, planował wyjazd jesienny do Włoch, na szczęście jeszcze wnet zrealizowany. Ale i tych bliskich wspominał, których w latach ostatnich odprowadzał do grobu, z trwogą myśląc, że to ciąg jeszcze nie skończony...

Czy nie przeczuwał, że On sam stanie się bliską ofiarą nieublaganego Thanatos? Miał dopiero lat sześćdziesiąt cztery, wciąż nie schodził ze szczytów swej jakże wielorakiej twórczości, znał smak życia, którym się delektował, znał smak i sens przyjaźni, którą darzył ludzi i którą ludzie Go darzyli. Najpełniejszy człowiek ze wszystkimi atrybutami tego, co humanum i co człowiekowi nieobce. Ktoż mógł przewidzieć, że ta pełnia człowieka zostanie tak szybko przykryta ziemią ukochanego miasta i kwiatami nadchodzącego przedwiośnia?

„Odpominam” dzieje zaszczytnej dla mnie i bardzo mi drogiej Jego przyjaźni. Przyjaźni zadzierżanej przez lata współpracy w Uniwersytecie Jagiellońskim, a potem bogaczonej już w ciągu mego lubelskiego dwudziestolecia: zjazdy polonistyczne, konferencje, sesje Instytutu Badań Literackich, moje bywania w Krakowie — z nieodłącznymi zawsze odwiedzinami u gościnnej Rodziny Wyków. Wszystkie przyjazdy Profesora do Lublina, kiedy w środowiskach uniwersyteckich czy literackich dzielił się z nami dorobkiem swych badań i przemyśleń. Tych skarłów nie krył zazdrośnie. Rozszepwał je hojną dłoń historika literatury, krytyka literackiego, eseisty, konesera malarstwa, najczulszego odbiorcy poezji, filmu, teatru. Nie zliczyć... Józef Czechowicz, Krzysztof Kamil Baczyński, Stanisław Pigoń („człowiek i żołnierz”), Jacek Malczewski, Julian Tuwim — oto parę tytułów Jego wykładów w Lublinie, wysupłanych na zawołanie ze wspomnień.

I nie zliczyć tych procesji studentów, uczniów, literatów i „ludzi z miasta”, którzy wabieli Jego nazwiskiem przychodzili po wiedzę, po piękne słowa, pomysły, inspirację, a chyba i po zadumę nad sensem istnienia i sensem losu Polski.

Jego wykład był czarująco gawędziarski a precyzyjnie ścisły, logiczny i skomponowany; igrający ze słowem i malarsko barwny. Jego styl i język — absolutnie niepowtarzalny, własny, zrodzony z wysłuchiwanie pełni życia i polskości; pozornie prosty, czasem jowialny, często przepojony poezją.

Słowa osobne należą się urokowi człowieka, który powagą uczonego łączył z szczodrością przyjaźni i serdecznością, jaką darzył nie tylko kolegów. Każdy zdolny uczeń stawał się Jego przyjacielem. Z tych młodych wyrosli znakomici historycy literatury i krytycy. A dzieła Profesora Kazimierza Wyki są dziś pozycjami, bez których w żadną przygodę polonistyczną nie zapuści się żaden badacz.

Znakomity kompan w towarzystwie, kibic sportowy, cieszył się jak młody chłopak każdym wygranym polskim meczem piłki nożnej. Ten „pracuś”, jak o sobie mawiał, afirmator pełni życia, miał czas na wszystko.

Wracam do wspomnień... Przychylności Profesora, ofiarności i gotowości do przysług oraz pomocy. Nie tylko Jego odczyty pamięta Lublin. Polonistka UMCS zawiążyła Mu wnikliwie, głębokie i pełne życzliwości recenzje prac doktorskich oraz udział w doktoratach wychowanków, wśród nich piszącej niniejsze wspomnienie. I piękne perspektywy przyszłości naukowej, jakie trafnie przed nimi otworzył recenzent...

Szlakiem wspomnień idę dalej: wdzięczność, jaką Kazimierz Wyka umiał okazywać, i szacunek dla pracy innych. To było w Krakowie w roku

1953, gdy poważnie wówczas chory Profesor powierzył mi zastępstwo za siebie na ćwiczeniach z świetną grupą studentów UJ — wyszli z nich w przyszłości wybitni historycy literatury, krytycy, teatrologi... W liście do przebywającego w Krynicy rekonwalescencja zdalał sprawę z rezultatów pracy. W odpowiedzi nadeszły takie oto słowa: „Bardzo mi ucieszyły wiadomości o przebiegu ćwiczeń — bez pochiebstwa powiadam, że pod Pani okiem i kierunkiem nie spodziewałem się innych. To bardzo ważne, że udało się ruszyć do rozkręcenia”. (Data na kartce: 23 I 1953).

Dedykacje na ofiarowanych książkach własnych... O jednej należy mi wspomnieć — tak jest piękna i skromna. Oto gdy w roku 1964 otrzymałam Krzyż Komandorski, przyniosła mi pocztą wspaniały dar: dwa ogromne tomy studiów o „Panu Tadeuszu”, ze słowami: „Drogiemu Janinie Garbaczowskiej do ciężko i pięknie zapracowanej”.

Jeszcze o Kazimierzu Wyce

TAKIM GO PAMIĘTAM

Janina Garbaczowska

nych wstąg orderowych dwie mickiewiczowskie wstążeczki od Kazimierza Wyki”. (10 III 1964).

I te spotkania osobiste. Krakowakie w domu Rodziny Wyków czy lubelskie w moim mieszkaniu, do którego zajeżdżał. Owe niezapomniane rozmowy ze mną i — bywało — z kilku zaproszonymi osobami. Był zawsze dużą towarzysztwa. Dowcipny, interesujący, bliski. Rozmowy przeciągały się do późnych nocy.

Zdrowie Profesora, Tu schodzę na teren bolesny. Piszę to wspomnienie z kurczem własnego serca w kilkadziesiąt godzin po odejściu wielkiego Przyjaciela.

Radości z pełni życia towarzyszyła Profesorowi pewność własnej tężyzny fizycznej i lekceważenie znaków ostrzegawczych. Jeżeli czasem zaniepokoił Go sygnały zmęczonego serca, to na krótko. Euforia wracała prędzej niż pełne wyzdrowienie. Nawet rekonwalescencja po chorobie roku 1953 była w Krynicy „nieodróżnającym próżnowaniem”, skoro w cytowanej już kartce pisał do mnie: „Chciałbym wrócić około 20 II, z gotową książką o Słowackim, która w przerwach między zabiegami pisze się w Krynicy... (..) Wszelkie badania oraz samopoczucie wykazują, że jestem już zdrow, więc jeszcze trochę czasu dla wieszczą i wracam do roboty”.

Minęło lat akurat dziesięć, gdy proszony przeze mnie Kazimierz Wyka miał przyjechać do Lublina. Nie wiedziałam, że jest chory. Oto parę słów z Jego kartki-odpowiedzi: „Postaram się w marcu, skoro zima definitywnie ustąpi, przyjechać do Lublina, bo przy obecnych „pogodach” nawet tak wytrwały osobnik jak podpisany — wy-

siadł i zaniechał”. (Z Krakowa, 5 II 1963).

I — dziesięciolecie następane. Piękna, duża karta z gór. Data: 24 III 1973. Przed tekstem — podkreślony ręką Wyki napis drukowany: Taty — Minich nad Morakim Okiem, i ręczny dopisek — „oraz Bukowina Tatrzanska”. A w tekście karty: „Jak widzę po nagłówku, jestem już całkiem zdrow, skoro z takiego nagłówka do Ciebie piszę — znakomicie go znosząc sercem. Bardzo mi to cieszy...” Jakże to było niedawno!

Nieśmiało wchodzę w część problemów jednej z najpiękniejszych książek Kazimierza Wyki: „Thanatos i Polska”. Książki o malarzu, ale wazystkimi ściegami związanej z naszą literaturą i losem Polski. Thanatos — Śmierć, obsesyjny motyw Jacka Malczewskiego, jest przedmiotem niezwykle subtelnych interpretacji Profesora. Przytoczę mały fragment Jego monografii, dotyczącej serii Thanatos: „Dotknięcie wszechwładnego efebosa śmierci poczuł na swoich oczach twórca, kiedy był u zenitu i w pełni sił. Jest w tym coś bardzo i po ludzku przejmującego: akcent przewidującej zgody na prawa ludzkiego bytowania. Stało się to na tle krainy rodzinnej artysty i na tle ścian najbliższych jego sercu i pamięci”. („Thanatos i Polska”, s. 49—50).

I jeszcze przypomni Wyka korespondującą z twórczością Malczewskiego paryski odczyt Andrzeja Struga w 50 rocznicę powstania styczniowego. Nie tylko przypomni Skomentuje: „To historia. Równocześnie biografia przekraczającego sześćdziesiąty rok życia człowieka postawiła przed Jackiem Malczewskim — Thanatos. Już nie jako metafizyczną konieczność gatunku ludzkiego, lecz bliski los własny”. (s. 156).

Analogie, chyba nie wydumane, sięgają dalej. Tam sięgają, gdzie nie wydumane nie można, skoro mowa o ostatniej wędrówce znakomitego pisarza, rozmilowanego w malarstwie Malczewskiego.

Na koniec — Kraków. Ukochane miasto, które Kazimierz Wyka umiał na pamięć — wraz z malowaną przez Malczewskiego okolicą Salwatora i jej przyrodą. Czytamy na ostatnich stronach książki „Thanatos i Polska”: „W stronę Piekar, Bielian i Tyńca, na łąki nadwiślańskie, gdzie zanim pod kosą padną pierwszej sianozęci, w maju tych kwiatów panuje największa bujność i obfitość — droga prowadzi wzdłuż krakowskiego domu Jacka Malczewskiego. Ulicą Księcia Józefa lub przyległym brzegiem Wisły skracającej bystro pod klasztor Norbertanek. Tutaj w wyobraźni spotykamy również Wyspiańskiego i Malczewskiego; gawędzą przy płocie sadyby pana Jacka, pod kulami przyciętych wierzby, z których wyrzeliły młode gałązki, zagładają do zieleni młodszego kolegi. (...) — również konkluzja dotycząca samego siebie jest w ustach Malczewskiego jednostronna. (...) — z jego tła krajobrazowego emanuje (...) polskość, uderzająca polskość. Lecz nie tylko polskość. Krajobraz był dla Jacka Malczewskiego zarówno miejscem polskości, jak miejscem losu ludzkiego w ogóle. Zarówno miejscem historii własnego narodu, jak miejscem egzystencji ludzkiej. Thanatos i Polska rządzą nim na równych prawach, zgodni tej ziemi współwłaściciele.”

Kondukt z trumną Jacka Malczewskiego spływał z wolna wśród śpiewów od Salwatora”. (s. 164).

Kazimierza Wykę odprowadzała na Salwator cała kulturalna Polska. W samo południe zęgnął Go niespokojny hejnał mariacki. Zęgnął Go kwiaty i cichy płacz nas wszystkich. A On? Spł pod kolorowymi słońcami symbolicznych aniołów Malczewskiego. Pałtrzy „w stronę sojuszników koniecznych człowiekowi w jego bytowaniu”.

GARMONDEM

DNIA 28 I br., przyjeżdżając pierwszy z Lublina do Warszawy, ruszyłem o godz. 20.40 z Dworca Wschodniego pociągiem pospiesznym nr 1809 do Słupska, zajmując miejsce sypialne hr 4a. W Słupsku miałem być o godz. 5.07. Zasnąłem

blęgo i szybko. Atoli już o godz. 24.00 zostałem obudzony, jak i reszta pasażerów. „Wagon ze psuty, będzie wycofany z ruchu, państwo szukają miejsca na własną rękę” — oznajmiono nam. „To po co kupowałem sypialny?” — spytałem pana z obsługi pociągu. Zagadnięty wyliczył jakąś księgę, poczytał i orzekł: „Wyspał pan 40 zł, na-

leży się zwrot 110 zł, zgłosi się pan w Warszawie do Orbisu, gdzie panu zwrócą.” Pozostałe pięć godzin podróży przestałem w korytarzu II klasy. Po piątym do Warszawy specjalnie nie pojedę. Oto w sumie zakres grandy świadczonej przez PKP.

POD

W poprzednim numerze „Kamery” zamieściliśmy pierwszy odcinek wspomnień Jana F. Jako jedenastoletni chłopiec uciekł on z domu w styczniu 1939 r. Wojna zastała go w Białymstoku. Stąd udał się do Lwowa. W styczniu 1940 r. wsiadł na pociąg, którym chłopcy ze spalonych wsi ukraińskich jechali do ZSRR do pracy. Oto dalszy ciąg tych niezwykłych przeżyć.

ITAK znalazłem się w Nikołajewie. Pociąg przywlekił się późną nocą, tutaj umieszczono nas wszystkich w dużych pokojach, które były przygotowane na nasze przybycie. Znalazłem odpowiednie miejsce na słomie i przespałem do rana. Na drugi dzień z samego rana jacyś ludzie w mundurach pospisywali personalia wszystkich. Mnie również spisano, ale ja zmieniłem swoje personalia, podając nazwisko i imię ciocięcego brata. Tak więc od tej chwili nazywałem się już Stanisław Kulczycki.

Dlaczego zmieniłem nazwisko, trudno mi dziś powiedzieć. Czyniąc to, sam nie wiedziałem, dlaczego tak postępuję.

Po tych wszystkich zabiegach odwieziono mnie do domu dziecka. Tu przeszedłem gruntowną kąpiel. Otrzymałem nową bieliznę, nowe ubranie i trzewiki, palto, czapkę i wszystko, co było potrzebne w porze zimowej. Następnie po oględzinach lekarza umieszczono mnie w izbie chorych, gdzie przez tydzień leczono moje nogi. Kiedy byłem już zupełnie zdrowy, wprowadzono mnie na dużą salę; tu zostałem przedstawiony wszystkim dzieciom.

Życie moje w nikolajewskim domu dziecka zaczęło się niepomyślnie. Przeziębienie pęcherza moczowego spowodowało, że co noc sikałem w łóżko; początkowo starałem się to ukryć, lecz udawało się to krótko, koledzy zauważyli pod moim łóżkiem kałużę moczu i od tej chwili zaczęli mi dokuczać.

Wiedziałem, że wcześniej czy później będę zmuszony uciekać, chociaż było mi tutaj dobrze. Wieczorami kiedy już wszyscy byli w sypialni, chłopcy opowiadali swoje różne przygody, wiele mówiono o „sobaczych jaszczkach”: były to metalowe pudła, które mieściły się pod wagonami pociągów pasażerskich. Otóż na takim pudle można swobodnie się położyć i wędrować, dokąd dusza zapragnie.

Wszystkie te opowiadania utrwaliłem sobie głęboko w głowie. Teraz czekałem tylko aż zginie śnieg i się ociepli. Jednak nie mogłem się doczekać coś mnie gnalo dalej.

Pod koniec lutego roku 1940 skierowałem swoje kroki w kierunku stacji nikolajewskiej. Przeszedłem na drugą stronę, gdzie był skład drzewa i tam, za tym drzewem, z bicia serca oczekiwałem przyjazdu pociągu. Oczekiwanie na pociąg obojętnie z której strony, trwało długo i zacząłem się obawiać, że moja dłuższa nieobecność w domu dziecka zaalarmuje wszystkich.

Ku mej radości zauważyłem zbliżający się z dala parowóz, który ciągnął za sobą sznur wagonów pasażerskich. Powoli parowóz zaczął hamować, aż zatrzymał się przy peronie. Wyszedłem ze swojej kryjówki, rozglądając się na wszystkie strony. Kiedy zauważyłem, że wszystko jest w porządku, puściłem się biegiem do wagonu i pod wagon. Tu zauważyłem dobrze mi znaną z opowiadania skrzynię metalową — „sobaczy jaszczki”. Szybko się na nią wsiadłem i z trwogą oczekiwałem sygnału do odjazdu. Sekundy wlokły się, aż wreszcie sygnał! Wagon drgnął i powoli, nabierając szybkości, pomknął w nieznaną.

Metal „jaszczka” swoim lodowatym zimnem zaczął przez palto i ubranie przenikać do mojej skóry i kości, podmuch zimnego powietrza pod wagonem również mocno mi dokuczał. Zrobiło mi się bardzo zimno, jak nigdy jeszcze. Szczękałem zębami i drżałem cały z zimna, wydawało mi się, że trwa to w nieskończoność.

Wreszcie pociąg zaczął zwalniać i jednocześnie zaczęło się robić coraz cieplej. Zastanawiałem się, czy jechać dalej, czy też zatrzymać się i ogrzać, a później złapać następny pociąg jadący w tym kierunku? Postanowiłem, pomimo wszystko, jechać dalej.

Takim sposobem dotarłem do Dniepropietrowska. Cały dzień spędziłem na waleśaniu się po ulicach i poszukiwaniu noclegu, nie mówiąc już o jedzeniu.

Za miastem znalazłem stara cegielnię i tutaj postanowiłem przenoćować. Na plecu leżało już kilku ludzi. Jeden z nich wyciągnął z kieszeni płaszczka butelkę. Wypiłem i się zakrzusłem, następnie poszedł już lepiej. Zrobiło mi się ciepło i stałem się gadatliwy. Zwierzyłem się temu człowiekowi ze wszystkiego. Opowiedziałem mu, dlaczego uciekłem z domu, jak wędrowałem nieomal cały rok po Polsce i jak znalazłem się tutaj. I dobrze zrobiłem, zwierzał się temu nieznanemu człowiekowi, który liczył sobie około sześćdziesięciu lat. Poczył on mnie, co mam dalej czynić, dał mi wiele wskazówek, które później mi się przydały. Radził mi, ażebym udał się do Odessy, skąd na gape łatwo jest dostać się przez Morze Czarne do Średniej Azji, gdzie nie ma zimy. Cała noc snulem plany i rozważałem słowa tego człowieka. Tak, za wszelką cenę muszę się dostać do Średniej Azji! Z tym postanowieniem pożegnałem rano tego człowieka, który na drogę dał mi jeszcze kilka tyków ognistej wody i kawałek czerstwego chleba. Po drodze do Dniepropietrowska trochę oczyściłem z kurzu swoje ubranie, a szczególnie palto i przetrzałem twarz śniegiem.

Po długim błądzeniu odnalazłem stację kolejową, panował tutaj niezwykle ruch. Dokładnie dowiedziałem się, o której odchodzi pociąg do Odessy, a ponieważ miałem jeszcze sporo czasu, więc udałem się na spacer po mieście.

I znów stukot kół po szynach, przesywający zimny wiatr pod wagonem i zimna stal pudła, na którym leżałem.

Skostniały, głodny i niewyspany wygramoliłem się spod wagonu na stacji w Odessie. Kiedy już byłem poza obrębem stacji zacząłem szukać ja-

kiegoś schronienia na noc, a ponieważ nie lepszego od piwnicy nie mogłem znaleźć, więc tutaj, na starych szmatach i papierach, które namacałem w ciemności, zrobiłem sobie niezgorzone legowisko. Zwinęty w kłębek, z głową schowaną, swoim oddechem ogrzewałem ciało i tak usnąłem. Kiedy się obudziłem, byłem prawie sztywny, a, co gorsze, zrobiłem siku w galoty. Szybkie ruchy i gimnastyka ogrzały ciało, po tym zajęciu wyszedłem na ulicę i żwawym marszem udałem się przed siebie.

Stałem nad Morzem Czarnym i jak okiem sięgnąć mogłem, widziałem tylko bezkresną połać wodną i rozkołysane prawdziwe fale.

Na widok tego ruchu morskiego włosy zjeżyły mi się na głowie. Bałem się. Powoli wlokłem się krok za krokiem do portu. Szedłem za radą człowieka z Dniepropietrowska. W dniu tym, i to za kilka godzin miał odpłynąć statek pasażerski z Odessy do Batumi. Pasażerowie pomału zaczęli podchodzić do trapu, ja również tu się znalazłem. Jedna starsza kobieta o okazałej tuższy dzwigała walizki i jeszcze jakieś zawiniątko; zauważyłem, że nikt jej nie odprowadza ani nie pomaga jej przy bagażu. Długo nie namyślając się podkroczyłem do niej i ofiarowałem swoje usługi. Chętnie się na nie zgodziła i dała mi do dzwigania największą walizkę. Na szczęście walizka nie była ciężka, zacząłem wolno wchodzić po schodkach na pokład statku. Tutaj sprawdzano bilety. Na mnie

Tak przykucnięci obok siebie przesiedzieliśmy nieomal całą noc, dopiero nad ranem udało nam się złapać pociąg, którym szczęśliwie dotarliśmy do Astrachania.

Katka — jak zauważyłem — znała już to miasto i prowadziła mnie na bazar twierdząc, że trzeba koniecznie skombinować coś do jedzenia. Katka mi zaszczyliła pustej budki, mówiąc, że za chwilę wróci. Faktownie wróciła, niosąc ze sobą spore zawiniątko, a kiedy już byliśmy razem powiedziała mi tylko: „Wania, żebyś ty wiedział, ile to mnie kosztowało!” Z bazaru poszliśmy do parku i tutaj na ławce spożyliśmy spory posiłek: był chleb, biały ser i spora kupa pierożków. Zjedliśmy same pierożki, a chleb i ser zostawiliśmy sobie na ustronie. W tej altance rano zjedliśmy chleb i ser, a następnie zabraliśmy się do czyszczenia z robactwa, które nam nie dawalo żyć. Po tym zabiegu powędrowaliśmy na wczorajszy bazar ażeby zaopatrzyć się w żywność, i tak jak dnia poprzedniego Katka kazała mi czekać przy tej samej budce. Wróciła jednak bez żadnego zawiniątka. Ale to nie było ważne. W czasie tych kilku dni tak się przywiązałem do Kati, że nie wyobrazałem sobie życia bez niej. Chciałem jej powiedzieć, co myślę o niej i jak bardzo ją lubię, lecz nie mogłem znaleźć słów i na ogół byłem małomówny.

„Dziś nie będziemy lazić po mieście, bo mogą nas złapać! Idziemy do naszej altanki!” — rozkazała Katka. Byłem jej posłuszny, gotów uczynić dla niej wszystko. W altance przesiedzieliśmy do wieczora. Przez ten cały czas snuliśmy różne plany. Kiedy już dobrze się ściemniło, udaliśmy się na stację.

Nasza podróż do Krasnowodzka trwała trzy dni. W drodze udało nam się zdobyć pozywienie i kilka rubli.

PAMIĘTNIK

GLOBTROTERA (2)

nikt nie zwrócił uwagi, a nawet kazano mi szybciej się uwijać ze swoim czemodanem. Gdy znalazłem się na pokładzie to razem z moją panią zszedłem po schodach do obszernej kabiny, wyglądającej na poczekalnię. Tutaj oddałem walizkę i chciałem odejść, lecz kobieta, której pomagałem, złapała mnie za ramię i do ręki wcisnęła jakiś papierek. Szybko schowałem go do kieszeni i oddałem się do następnej obszernej kabiny, w której mieścił się bufet.

Zaszyłem się w jej kącie i z bijącym sercem oczekiwałem na odjazd. Dobrze się złożyło, że nie jadem, bujanie statku doprowadziło mnie do wymiotów, dziwiłem się, że inni pasażerowie siedzieli spokojnie, a bujanie statku nie robiło na nich żadnego wrażenia.

Powoli pod wpływem tego kołysania zacząłem usypiać. Ponieważ było mi niewygodnie spać na siedząco, wlałem pod ławkę, gdzie jak na najlepszym postanowi usnąłem.

Było południe, kiedy statek dobił do wyznaczonego portu — Batumi. I tutaj, tak jak w Odessie, szczęśliwie przeszedłem przez kontrolę biletów niosąc walizkę. Otrzymałem za pomoc drugą taki sam papierek. Podziękowałem i oddałem się szybko.

Za jeden banknot kupiłem sobie na bazarze dość spory kawał placka, który zjadłem w jednej chwili. Tutaj faktycznie było ciepło, tylko w dali na górach widoczny był śnieg. Z Batumi już znanym sobie sposobem udałem się w kierunku na Tbilisi. Podróż moja trwała kilka dni, musiałem niejednokrotnie wysiadać i szukać nie tylko pożywienia, ale i noclegu.

Przy sobie nie miałem już ani jednej kopiejki. Głodny po całodziennym wędrowaniu udałem się na stację, ażeby ruszyć w dalszą drogę, tym razem w kierunku Astrachania nad Morzem Kaspijskim.

Był to już marzec 1940 roku. Aż się dziwiłem, że w tak krótkim okresie potrafiłem przejechać taki szmat drogi! W tych stronach było ciepło, a podróż pod wagonem stawała się przyjemnością. W swoich podróżach nauczyłem się, że najlepiej wsiadać pod wagon nocą. Tak też uczyniłem i w Tbilisi.

Na peronie stał pociąg gotowy do odjazdu, skoczyłem pod wagon, ale tym razem spotkał mnie zawód: miejsce było zajęte. Nie namyślając się, skoczyłem pod drugi wagon i w tym momencie pociąg ruszył. Ku memu przerażeniu spostrzegłem, że miejsce również było zajęte. Istota leżąca na pudle zrobiła mi jednak trochę miejsca. Trzymając się jedną ręką jakiejś rury, szczęśliwie dojechałem do najbliższej stacji. Tutaj razem z mną wysiadł mój współtowarzysz podróży. Jak się okazało, była to dziewczyna, która — tak mi powiedziała — nazywała się Katka. Miała dwanaście lat, była więc moją rówieśniczką.

Kiedy zapytałem ją, dlaczego nie jechała dalej, odparła, że nie chciała zostawić mnie samego na tym pustkowiu, no i że jej jakoś samotnie źle się podróżuje.

Siedzieliśmy oboje nieopodal tej stacyjki zwierając się sobie wzajemnie. Katka nie miała rodziców i wychowywała się w domu dziecka, już niejednokrotnie uciekała nie tylko z domu dziecka, ale także i domu poprawczego. Opowiedziała mi, że mieszkała jakiś czas w Suchumi u bogatego Turkmiena, ale że on jej za dużo dokuczał, więc dała drapakę.

„Pojeździemy do Krasnowodzka, ja tam mam babcię. Jeśli jeszcze żyje, to sobie trochę odpocznemy i odżyjemy się, zgoda?”. „Zgoda, Katku” — odpowiedziałem.

Babcia Kati mieszkała w małym domku prawie przy samym brzegu Morza Kaspijskiego. Była to mała kobiecinka o szybkich ruchach i bardzo gadatliwa.

Zaraz w pierwszym dniu na rozkaz babci Katka i ja musieliśmy wszystko z siebie zzuć, babcia energicznie zabrała się do prania naszej odzieży. Nas oboje poowijała w prześcieradła i zapędziła do małego pokoiku, w którym były różne rupiecie. Tutaj na środku stała duża balia, a w niej parowała ciepła woda. „Ja idę teraz prac wasze wszy, a wy mi się porządnie wyszorujcie!”

Katka zrzuciła z siebie prześcieradło i skoczyła do bali chlapając się wodą, ja stałem nadal owinięty w prześcieradło i przyglądałem się jej ciału, a szczególnie temu miejscu, które było obsypane drobnymi, lśniącym czarnym włoskiem. „Rozbieraj się! Czego stoisz i gapisz się?” — Katka przywołała mnie do porządku. Powoli i niechętnie zrzuciłem z siebie prześcieradło. Katka pociągnęła mnie za rękę do wody, w której zaczęliśmy barszkować. „Weź, namydlj mnie całą, a później ja ciebie” — rozkazała Katka.

Po kąpieli babcia przyniosła nam jakieś czyste stare koszule, które posłużyły za tymczasowe okrycie. Następnie zjedliśmy sporą kupę smażonych placków i wypiliśmy po kubku herbaty.

Było ciepło i odzież nasza szybko schła na słońcu. Całymi godzinami siedzieliśmy w oknie i przyglądałem się morzu, Katka czyściła ryby, które przynosiła babcia, cały czas nucila jakieś piosenki i rozmawiała z babcią o swoich przygodach i o naszych wspólnych podróżach.

Przez cały okres mego pobytu u babci, a trwał on prawie miesiąc, wiele czasu spędzałem waleśając się po brzegu Morza Kaspijskiego. Już mi się zaczęło nudzić i pragnąłem wyruszyć dalej do Taszkientu i Aszhabadu, a później jeszcze dalej.

Katka ułatwiała mi i rzadko kiedy widziałem ją, a bywało i tak że nie wracała nocami, co mnie bardzo martwiło. Pewnego dnia postanowiłem rozmówić się z Katką i ostatecznie coś postanowić. Czekałem odpowiedniej chwili i wreszcie ona nadeszła. Kati nie było całą noc, więc czekałem na nią przy dużym kamieniu, tedy ona zawsze wracała. Słońce już weszło wysoko, gdy zauważyłem nadchodzącą Katkę. Wybiegłem jej na spotkanie, powitała mnie opryskliwie jak nigdy, i czud było od niej alkohol. Pozostawiłem ją, a sam udałem się nad morze, gdzie się rozplakałem. Plakałem dość długo. Teraz już wiedziałem wszystko o Kati, domyślałem się, w jaki sposób zdobywała w drodze żywność i pieniądze. Żal ścisłał mnie za serce. Straciłem jedyną istotę, którą pokochałem z całej duszy.

Nad morzem przesiedzieliśmy do zachodu słońca, spojrzaliśmy na małą chatkę tej dobrej babuni i po raz ostatni roniąc tu łzy ruszyłem przed siebie, kierując swoje kroki w stronę stacji kolejowej.

Dalszy ciąg nastąpi

Kamena str. 11

OKO -TICE SZTU -KI

System dwójkowy

W LUBELSKIM środowisku artystycznym obowiązuje od niedawna tzw. dwójkowy system reprezentacji.

Polega on na tym, że podczas wernisażu wystaw plastyków z innych ośrodków kraju, na si pojawiają się z reguły w liczbie dwóch. Czasami daje to dziwne efekty. Okazuje się, że gości bywa więcej niż tubylców, a zatem ci pierwsi, wyjeżdżając z Lublina, czują pewien niedosyt informacyjny i protokolarny. Wydaje się przy tym, że strona nadbystrzycka absolutnie nie podziela tych uczuć. Bądźmy jednak sprawiedliwi: nie każdego artystę musi zaraz interesować twórczość Berdyszaka, Zbrożyny, Gierowskiego, Dwurnika, Pakulskiego i wielu innych wybitnych malarzy, grafików i rzeźbiarzy, których z uporem prezentuje Biuro Wystaw Artystycznych. Można oczywiście wrednie zapytać, co zatem takiego interesuje szerokie masy naszych plastyków, ale będzie to pytanie prowokacyjne, niegodne „Kamenu”, której latami wmańwano szacowność i stateczność. A poza tym Mickiewicz...

Otóż Mickiewicz, gdyby żył, nie chodziłby zapewne w ogóle na wystawy plastyczne, co najwyżej na-

wiązałby kontakt z konceptualistami. Autor poematu „Kartofla” popadł swego czasu, jak wiemy, w mistycyzm, i wtedy właśnie, w okresie paryskim, stwierdził jednoznacznie, że Słowianom malarstwo nie potrzebne, że dusze najpełniej skowyczą w strofie poetyckiej. Stąd właśnie bierze się domniemanie, że znakomity poeta dogadałby się być może z niektórymi konceptualistami, którzy odrzucają trywialną pokusę kształtowania materii.

Mickiewicz mógłby więc stanowić coś w rodzaju alibi dla wielu członków związku plastyków, sęk w tym że inny wielki poeta prezentował całkowicie odmienne sądy o sztuce. Chodzi o Norwida, który w 1858 r. opublikował w Paryżu broszurę „O sztuce (dla Polaków)”, a na dodatek sam parzył się twórczością plastyczną, jak wiadomo, z całkiem przyzwyczajonym skutkiem. Autor „Promethidion” dostrzegł w sztuce ważny środek kształtowania ludzkiej osobowości i życia zbiorowego.

Na wartości zawarte w sztuce wskazywał także wielki robotnik polskiej literatury—Kraszewski. Wymowne: podobnie jak Norwid, autor „Starej Baśni” z upodobaniem i znaczną biegłością rysował, dla obejrzenia tych tylko prac warto się wybrać do muzeum pisarza w Romanowie.

Sztuka jest zapewne zjawiskiem starszym od wynalazku koła, powstała prawdopodobnie na drugi dzień po obudzeniu się w człowieku samoświadomości. Z jednej strony stanowi apoteozę materii, z drugiej — zmierza do dematerializacji przedmiotu, do zasłonięcia go ideą. W pełni określa kierunkowe mechanizmy człowieczej aktywności, mechanizmy chyba niezmiennie.

Ale jej oblicze zmienia się ciągle. Szczególnie dzisiaj jest to proces niezwykle szybki, meandryczny, powikłany. Wprowadza zamęt w umysłowość, które opuszczały akademie sztuk pięknych w przekonaniu, że oto wynoszą w sercu i pod czaszką bagaż motywacji i sprawności wystarczających na całe życie. Po pewnym czasie to całe „umebrowanie” okazuje się diabła warte, rytm przemian artystycznych zmusza do ciągłej aktywności i indywidualnej weryfikacji zjawisk, do ich selekcji pod kątem: ważne i mądre, piękne i potrzebne — głupie, hochsztaplerskie, cwaniackie... Tymczasem życie dyktuje swoje wymagania, jeść trzeba, żona szydzi, dzieci z wściekłością gryzą paluszki, bo nie u nich, lecz u sąsiada

jest już kolorowy telewizor. Więc ci prostoduszni odchodzą na pobocza, słuch o nich niknie. Dzieje się milczący dramat. Znamienne, większość poległych rekrutuje się z średniego pokolenia, to są roczniki bezpośrednio przed- i wojenne.

Na wernisażach najczęściej bywają artyści starsi i zupełnie młodzi. Tych pierwszych żadne salta sztuki dzisiejszej nie są zdolne wytrącić z równowagi, oni swoje widzieli, swoje wiedzą, inni niech stają na głowie. Czapki z głów, proszę państwa, przed tą generacją, bo broni ona pewnej formacji, zwanej kulturą śródziemnomorską. I chętnie wystawia, gdzie popadnie: w klubach zakładowych, świetlicach, witrach sklepowych, powiatowych domach kultury. Ponad 10 lat temu w Hrubieszowie od rana do wieczora dudniły megafony, uświetnia-



Mariusz Głazowski: grafika z wystawy indywidualnej w lubelskim BWA.
Fot. A. Polakowski

jąc muzyczną wystawę pewnego malarza lubelskiego, niezwykle uroczyście otwartą w głównej sali Prezydium PRN... Węzowska wycieczek szkolnych nie miały końca, prawdopodobnie wszyscy uczniowie wszystkich szkół hrubieszowskich obejrzeliby ekspozycję...

Artyści młodzi: szukają kontaktu, wejścia w środowisko, konfrontacji z tym, co robią. Z reguły pojawiają się w Lublinie z taką liczbą prac, która umożliwi im szybkie urządzenie ekspozycji indywidualnej. Zależy im na wystawach, z reguły ostro idą do przodu, nie krygują się tak, jak to czynią niektórzy dorośli malarze z pretensjami, którzy w nieskończoność zmieniają uzgodnione już terminy własnych wystaw w BWA, zakładając nieco działalność tej prężnej placówki, ale przede wszystkim — ujawniając pustki i smutek pracowni... Ci młodzi pojawiają się w Lublinie dość rzadko. Istnieje przecież prawdopodobieństwo, że po prostu ich nie dostrzegamy, że po prostu z własnego wyboru zniknęli w życiu. Dobrze, że do tej grupy nie dołączył Mariusz Głazowski. Jego niedawna (grudzień 1974 — styczeń 1975) wystawa indywidualna w lubelskim BWA skłania do bacznej uwagi. Głazowski reprezentuje nie tylko jak to się mówi, myślenie plastyczne, ale także wyraźną skłonność do szerszej refleksji, w której centrum pozostaje kondycja ludzka, trudne jej sytuacje. Urodzony w 1946 roku w Lublinie, studiował na Wydziale Sztuk Pięknych UMK w Toruniu, dyplom w zakresie grafiki i pedagogiki artystycznej uzyskując w 1973 r. Lubelski debiut Głazowskiego sygnalizuje godną uwagi indywidualność.

Z zainteresowaniem obejrzałem również grafikę Grażyny Mosiądz, także absolwentki UMK, którą pokazała w galerii „Labirynt” — w towarzystwie Broniarka i Salińskiego. Za mało jednak prac widziałem, aby ośmielić się na bardziej skonkretyzowaną ocenę jej twórczości. Tymczasem chciałem tylko wskazać na sprawność, z jaką pani Grażyna buduje formę graficzną. Mogę również zapewnić, że nie stracę jej z pola uwagi. Trudno zresztą byłoby postąpić inaczej.

IJK

P. S. W ogólnopolskim konkursie im. J. Spychalskiego na obraz sztalugowy, ogłoszonym przez Poznań, znaczącą nagrodę PSP otrzymał Jan Popek za pracę pt. „Biuro wiecznego oczekiwania”. Proszę przyjmując gratulacje, Panie Janie!

GEOGRAF JAKO KREWNY ARTYSTY

Dokończenie ze str. 3

Jan Ernst kierował „Chórem Eriana”, aranżował utwory, sam akompaniował. A równolegle opracowywał nowe metody określania regionów geograficzno-rolniczych. Jedną z nich, opublikowaną w „Czasopiśmie Geograficznym” w 1932 roku, referował na warszawskim kongresie Międzynarodowej Unii Geograficznej dwa lata później. Jeszcze długo potem będzie ona wzbudzać znaczne zainteresowanie środowiska naukowego, w 1959 roku Umberto Toschi wskazał na „metodę współmierności między warunkami naturalnymi a stopniem ich wykorzystania” w dziele „Geografia Ekonomiczna”. Kolejna metoda Jana Ernsta — „względnych odchyleń od średniej” — jest często dziś stosowana dla wskazania elementu wyróżniającego rolnictwo danego obszaru. W latach 1964 i 1967 profesor prezentował te koncepcje podczas wykładów w Rzymie, Genui, Pawii, Bari... Po raz pierwszy zetknął się z Włochami w 1937 roku, zaraz po uzyskaniu doktoratu, kiedy to w celu zebrania materiału do pracy habilitacyjnej wyjechał pod Apeniny, na kilka długich lat zawieszając zresztą działalność „Chóru Eriana”, który nagrywała już „Columbia”...

Najistotniejszym wynikiem wszelkich badań geograficznych jest przejrzysty i czytelny obraz kartograficzny. Materiały które spoczywają w zakładzie, informują np., że głównymi obszarami występowania pszenicy w Europie są środkowe i południowe Włochy, Grecja i północna Hiszpania, że żyto koncentruje się w Polsce i północnych częściach NRD i RFN, owies upodobało sobie w Finlandii, Szkocji, Irlandii, i południowej Szwecji, a kukurydza rośnie głównie w Rumunii, Jugosławii, na Węgrzech i w północnych Włoszech, natomiast uprawa buraka cukrowego wyróżniają się Czechosłowacja, RFN, Belgia, Holandia i południowa Anglia. W gmachu przy ul. Akademickiej dowiemy się ponadto, że uruchomienie Zakładów Azotowych w Puławach rozwinęło w okolicy warzywnictwo, zwiększyło hodowlę drobiu i trzody chlewnej — redukując hodowlę owiec i uprawę buraków cukrowych. Puławy są zresztą od dawna w polu uwagi zakładu, który podejmuje sporo lokalnych tematów, pozostając w kontakcie z Komitetem Badań Obszarów Przemysłowych Prezydium Rady Ministrów. Archiwa geografii ekonomicznej kryją jeszcze ciekawsze informacje. Na przykład o procentowym udziale Lubelszczyzny w rozwoju krajowego przemysłu. Ten udział maleje, odstaje od średniej ogólnopolskiej — bo tylko „przemysł rodzi przemysł”. W zakładzie dowiemy się również, że studenci Wydziału Prawa UMCS rekrutują się głównie z Lubli-

na, Chełma i Zamościa, a więc z tych miejscowości, które zapewniają chleb zarówno adwokataturze, jak i prokuratorze.

Ten rejestr przekona zapewne czytelników, że geografia ekonomiczna UMCS to instytucja stwarzająca bardzo praktyczne wartości, które nie tylko mogłyby, ale i powinny interesować ludzi decydujących o gospodarce, o kierunkach jej rozwoju. Tymczasem najbardziej użytecznym produktem zakładu jest tzw. człowiek z krwi i kości, czyli absolwent. Znajduje on zatrudnienie w urzędach statystycznych, w komórkach planowania, w określonych przedsiębiorstwach ekonomicznych. Jest to na ogół osobnik dobrze przygotowany do zawodu, ostatecznie na geografii wala ludzie tłumnie, selekcja wstępna i podczas roku studiów eliminuje jednostki słabsze. Wiek pod tym względem jest dobrze, przynajmniej oczy na fakt, że 160 słuchaczy geografii ekonomicznej UMCS traktuje się wzajem w stosobowej sali wykładowej, największej jaką zakład posiada.

Zapytajmy jednak, co dzieje się z kilogramami prac magisterskich (i innych), które to elaboraty traktują niezręcznie o sprawach tyle codziennych w programowaniu gospodarczym, ile ważnych? Wstyd powiedzieć: leżą w archiwum. Bo nikt ich nie chce. Bo nikogo nie interesują. Mimo że kierownik zakładu kilkakrotnie usiłował zwrócić na nie uwagę odpowiednich, jak to się enigmatycznie mówi, czynników. Profesor Jan Ernst dopuszczał nawet możliwość sugerowania przez owe czynniki określonej liczby tematów prac dyplomowych, oczywiście drogą konsultacyjną, jako że program dydaktyczny i sama nauka profilowane są przez mechanizmy jakby autonomiczne. Nic z tego. Szkoda.

Profesor Jan Ernst pojawił się w UMCS w 1959 roku i od tego czasu co tydzień przyjeżdża do Lublina ze stolicy, gdzie mieszka. Jego żona, Zofia Ernstowa, jest świetną tłumaczką z włoskiego, przełożyła m. in. „Lamparta” Lampedusy oraz, nie tak dawno, „Mussoliniego” Paolo Monelli. Profesor wykładał kilku doktorów i 150 magistrów, w latach 1962—66 był dziekanem Wydziału Biologii i Nauk o Ziemi UMCS. Sześć tysięcy razy występował z „Chórem Eriana”, który w dość przymusowych okolicznościach reaktywował po wojnie, prowadząc do momentu definitywnego rozwiązania zespołu (1961 r.). Ale po raz ostatni pojawił się na scenie w 1966 roku, podczas jubileuszowego koncertu w sali warszawskiej Filharmonii Narodowej. Dostojnemu „Chórowi Eriana” towarzyszyły wówczas „Czyżki”, „Czwórka Szacha”, „Beltono” i kwartet wrocławskiego okręgu wojskowego. 35-lecie zespołu ozdabiali również występy Sempolińskiego, Dymy, Kosztrzewskiej, Mankiewiczówny, Santor, Wojnickiego, Hiońskiego, Lesiockiego, Ładosza, Ofierskiego... Na wypełnionej widowni zauważono dwóch ministrów oraz 16 byłych członków chóru. Koncert trwał cztery godziny. Pięć lat później ukazała się płyta z trzynastoma piosenkami „Chóru Eriana”.

„W tej chwili to już tylko barwne wspomnienia” — zauważa profesor Jan Ernst, zbierając się do wykładu na temat regionów rolniczych w Polsce.

Ireneusz I. Kamiński

ROD PARAGRAFEM

Marlwa dusza krowy



Fot. J. Mendychowski

JAK gospodarz ma konia czy krowę w odpowiednim wieku, to musi zawrzeć z PZU umowę na ubezpieczenie obowiązkowe zwierzęcia tzw. normowe. Może też zawrzeć umowę indywidualną, a wartość kwoty, którą wypłaca PZU w przypadku, gdy zwierzę padnie, jest wtedy znacznie większa, sięga dziesięciu i więcej tysięcy złotych. Druk takiej umowy, wypełniany przez agenta PZU, zawiera rubryki dotyczące gatunku, wieku, maści, płci, wartości rzeczywistej bydła, nazwiska i adresu właściciela. Kiedy zwierzę choruje, właściciel musi korzystać z usług lekarza weterynarii. Gdy zwierzę padnie, trzeba zrobić sekcję weterynaryjną z odpowiednią dokumentacją. Właściciel wypełnia druk zgłoszenia szkody zwierzęcej, który potwierdza sołtys. Następnie rolnik zdaje zewłok w punkcie odbioru padliny, na co otrzymuje pokwitowanie. Wszystkie te dokumenty wędrują do PZU, gdzie są dodatkowo weryfikowane. Protokół likwidacji szkody musi podpisać dwu inspektorów PZU i ich przełożony — kierownik działu rolnego. Dopiero wtedy można urzędowo zlecić bankowi spółdzielczemu wypłacenie owych dziesięciu tysięcy złotych.

Wydawałoby się, że przy takim systemie jakiegokolwiek kant jest niemożliwy lub przynajmniej łatwy do szybkiego wykrycia. Za dużo tu ogniw — dokumentów poświadczonych przez różnych ludzi, faktów sprawdzanych wielostronnie. Agent, właściciel, lekarz, sołtys, zbieracz padliny, inspektorzy i kierownik. Za dużo ogniw, a jednak kant zdarzył się na niemalą skalę i trwało przeszło dwa lata!

Wszystko zaczęło się od informacji, którą otrzymała KP MO. Padły wtedy trzy nazwiska (dziś oskarżonych jest osiemnastu) i było parę mglistych faktów (dziś fakty są udokumentowane, a niektóre... biegają po łące, choć powinny dawno stać się radością roba-czków). Notatka milicji spowodowała, że PZU przeprowadziło analizę. Analiza wykryła, że na terenie dwu gromad (potem gmin) w ciągu dwu lat padło trzykrotnie więcej krow i koni niż w sąsiednich gromadach (gminach), a cały ten padły zwierzę posiadał ubezpieczenia indywidualne. Pomóż jakis, dopust boży, czy co?

Główny oskarżony (sołtys w jednej z wiosek) twierdzi, że wszystko się zaczęło od kierownika działu rolnego powiatowego inspektoratu PZU. Dziś kierownik nic nie wyjaśni, ponieważ zmarł, zanim stodoła się zawałiła. On to miał zaproponować sołtysowi inter-

za zwierzęta, które padły, ale tylko na papierze. On to miał skontaktować sołtysa z lekarzem powiatowego zakładu weterynarii, który wystawiał fikcyjne zaświadczenia (a to „kółka zatorowo-zakrzepowca”, o to „pęknięcie żołądka”); ze zbieraczem padliny rejonowego przedsiębiorstwa przetwórczego przemysłu paszowego, który kwitował martwe dusze zwierzęce, choć faktycznie były to dusze nad wyraz jeszcze dziarskie; z agentem PZU, który namawiał rolników na ubezpieczenia indywidualne zwierząt, mające niebawem owocować całkiem realnym pieniądzem; z inspektorem PZU, który podpisywał fikcyjne dokumenty likwidacji szkód.

Lecz głównym organizatorem, koordynatorem, naganaczem oraz inkasentem (choć chyba nie mógł) imprezy był nasz sołtys. On to bowiem musiał ruszyć w teren i skłonić chłopów, iżby za odpowiednią opłatą prokurowali fikcyjne zgłoszenia szkody zwierzęcej, on musiał organizować dokumenty u lekarza weterynarii i zbieracza padliny. On to na przykład zorganizował drugiego sołtysa. Drugi sołtys miał ubezpieczonego konia na 10 500 zł. Sfabrykował zgłoszenie, iż koń padł (potem go sprzedał żywego na jarmarku), wypisał czytelnie swoje nazwisko jako właściciela rumaka, a następnie poświadczył dokument własną pieczęcią sołtysią i... nieczytelnym podpisem.

Odszkodowania były dzielone następująco: chłopki za fikcyjne zgłoszenia od 500 do 2500 zł, kierownik działu rolnego inspektoratu powiatowego PZU 1000 zł od krowy i 2000 zł od konia, lekarz weterynarii tak samo, zbieracz padliny 800 zł od krowy i 1500 zł od konia, inspektor PZU po 1000 zł od sztuki, agent PZU tak samo. Kant był tak precyzyjny, że biegły sądowy nie mógł wyjść z podziwu. Zasadniczą część gotówki zgarniał sołtys numer jeden.

Opisuję tę sprawę w znacznym uproszczeniu, wobec kilkunastu następnych osób toczą się odrębne postępowania. Każdy z członków zasadniczej ferajny działał również na boczku — na własne konto. W sumie idzie tu o wyłudzenie na szkodę PZU blisko pół miliona zł. Głównego oskarżonego obciąża prokurator kwotą blisko 340 tys. zł. Szesnastu oskarżonych częściowo przyznało się do winy. A wszystko zaczęło się od niewielkiej notatki MO, która teraz rozrosła się do trzydziestu tomów akt sądowych i prokurator-skich. Wsi spokojna, wsi wesola...

pom

NIE zamierzamy użyć naszych młodych czytelników, jak pisał listy miłosne, chociaż i z takimi próbnymi spotykaliśmy się w okresie druku „Smaku miłości i lez”. Listy miłosne sławnych ludzi, niezdyt przez lata ukrywane w skrytkach, a ujawnione publicznie po śmierci ich autorów bądź autorek, stawały się najbardziej poszukiwaną lekturą. Były one i zawsze są — można tak powiedzieć — aktualnymi dokumentami ludzkiego serca. Niektóre spośród nich przypomniemy w tej rubryce, przede wszystkim zależy nam jednak na listach współczesnych. Zachowujemy pełną anonimowość, zmieniamy nawet w tekście imiona. Chodzi nam o listy autentyczne. Nie będą to, oczywiście, listy ludzi sławnych (choć kto wie, jak uloty się przyszłości pisarzy?), zależy nam jednak na tym, aby były one ciekawe, w miarę możliwości odzwierciedlały dzisiejsze czasy. Czy i jak nam to się uda, sami jeszcze nie wiemy. W dużej mierze zależy od naszych czytelników, których i w tym wypadku prosimy o współpracę.

● **Mój niezbyt miły Sfinksie! Jesteś taki niedobry, jak pogoda za oknem, co zamiast być przyzwyczajone wiosenna stroi jochy i robi brzydkie kawaty. Okrutnie już późno, dochodzi dwunasta, zaraz na pewno wysunie się z kąta jakiś duch i zakończy mi mego żywota. To reminiscencja „Kobry” dziś oglądanej. Chciałabym, abys wiedział, że ODDALĄBYM WSZYSTKO (?) GDYBYS TY MOGŁ BYĆ TERAZ ZE MNA, dziś wieczorem, nocą, choć godzinę — tylko Ty, Kochanie. Chciałabym z Tobą zmywać naczynia w kuchni czy GDZIEKOLWIEK — ZAWSZE. Czas upływałby Ci szybko na słuchaniu MAŁYCH KŁAMSTW o tym, jak BARDZO CIĘ KOCHAM i że CHCIAŁABYM ZYC DLA CIEBIE itd. Rozumiesz mnie, prawda? PRZEZ CIEBIE i dzięki TOBIE COS PRZEŻYWAM dziwnie pięknego i nie ma na to rady... Sfinksie! Jeśli Sfinks byłby uprzejmy przysłać mi skrawek Wielce Szanownego Ucha lub Kawalek Przewielebnego Paznokcia lub nawet Włos Jeden Szanowny byłabym wielce zobowiązana. Zostanie on otoczony NAJWYŻSZYM SZACUNKIEM, trzy świece się będą palić co dzień, a nocą będzie ów PRZEDMIOT(y) pieszczony i całowany... Fontanno Bachczyseraju! Czy płaczesz za mną nieco w poduszkę? Jesteś mi winien przynajmniej dwa listy! Czemu tęsknoty nie można składać na PKO? Miałabym już zabezpieczoną starość... Ty wstrętne Chłopisko! Mimo to pocałuję Cię dla własnej przyjemności. Mara nocna.**

Listy miłosne

● **Najmilszy! Miałam dzisiaj, a właściwie wczoraj, koszmarną noc. Czytałam do późna książkę, potem usnęłam. Obudziłam się gdzieś w środku nocy i z przerażeniem stwierdziłam, że oba zegary stoją od dawna. Wyrzuciłam na balkon — ciemno, zimno, na ulicy ani żywego ducha. Nie byłoby w tym nic strasznego, ale musiałam wstać o piątą, bo o szóstej jechałam w teren. Czarna rozpacz! Nie miałam pojęcia, która godzina. Nastawiłam budzik na chybił trafił na piątą. Zadzwonił. Usłyszałam, że ktoś biegnie po schodach. Uchyliłam drzwi i spytałam o godzinę. Była siódma. Wyjazd w teren diabli wziął. I tak czasem mechanizm zegarka rządzi człowiekiem, przepraszam — kobietą, bo przypominałam sobie, że Ty mnie za człowieka nie uważasz. Bóg z Tobą i tak Cię Kocham. Ale zaczynam się bać wielu rzeczy — samotności, pustego mieszkania, myślenia o Tobie przed zaśnięciem, budzenia się w nocy i smutnego stwierdzenia, że Ciebie po prostu nie ma. Widzisz, Wstręciuchu, co ze mnie zrobiłeś? Gdzie moja silna wola, samodzielność, niezłomność? Czuję się biedna, opuszczona. Ale nie martw się, jakoś będę się trzymała. Nie mogę przecież pozwolić, abyś przez moje pojętkowania zaczął mnie mieć dość. Nie wolno marnować takiej szansy, jaką jest nasze uczucie. „Kiedy ludzi łączy nie tylko namiętność — to z tej książki, o której wspominałam na wstępie — już nie tylko o namiętność, pierwsza pojawia się radość. Pierwszy znak miłości to ona; zaraz następne jest cierpienie”. Wybacz, że Cię raczę cytatami, ale wydaje mi się to bardzo prawdziwe. Tak się okropnie cieszę, że Cię mam, że jesteś tylko i wyłącznie mój (może jestem zbyt zabobna, ale to przywilej miłości), a jednocześnie tak okropnie smutno i serce boli, że jesteś tak daleko. Ale dzisiaj to się tylko i wyłącznie cięszę, że istniejesz, że jesteś najlepszy i najukochańszy na świecie. Amen. Amenka.**

● **Kochanie! Ciągłe się boję, że jestem nudna w tym pisaniu do Ciebie. Jak studiowałam, mogłabym całymi nocami dyskutować na tematy filozoficzne, religijne, kulturalne. Listy też pisałam ogromnie długie i problemowe. A przecież nie mogę powiedzieć, abym teraz, dwa lata po studiach, nadal nie była ciekawa świata i jego spraw. Tylko jakoś za mało znamy się pod tym względem, aby taką dyskusję prowadzić. Przecież tak naprawdę to bardzo mało wiem o Tobie. Ile się znamy? Pół roku zaledwie (właśnie minęło). Nie wiem, co lubisz czytać, czym się najbardziej interesujesz („czy pani lubi Brahmsa?”) — o właśnie: czy lubisz muzykę, jeśli tak, to jaką? Co jadasz na śniadanie, jaki jest Twój ulubiony kolor, czy lubisz kwiaty? Smieszne to, ale prawdziwe. Chciałabym to wszystko wiedzieć nie dlatego, aby Cię „zaszustałkować”, ale aby być bliżej Twego „ja”. Napisz mi, choć w przybliżeniu, kiedy się zjawisz? Jak Cię znam, wystarczy, że za miesiąc zasieję nasiona kwiatów. Zerwę je na Twoje powitanie za iks miesięcy. Twoja Pesemistka.**

● **Ty! Siedzę już dwie godziny sama i dumam. Może nie powinnam właśnie dzisiaj być sama, ale trzeba dźwigać ciężar braku Ciebie. Nie ucieknę przed tym i tak, a żadne towarzystwo mi Ciebie nie zastąpi. Ogromna pustka i świadomość, że znów czekanie — miesiąc, dwa... Na nic nie mam ochoty, wszystko leci z ręk, nawet list do Ciebie ciężko mi pisać, mimo że to jedyna możliwość zbliżenia. Co robić? Straciłam zupełnie swój spokój ducha, jakąś wewnętrzną harmonię, która potrzebna jest, aby żyć. Nie można wymagać zbyt wiele. Sam fakt, że jestem Ci potrzebna, to dużo. Nieraz wydaje mi się, że powinniśmy to wszystko skończyć, ale już teraz nie mam na to siły. I nie bardzo mam siłę, aby żyć bez Ciebie. Wiem, że nie ma na to rady i będę żyła, jak dotąd. Każdy Twój przyjazd jest wielkim świętem, „ruchomym świętem”, które chodzi teraz za mną i doprowadza do tego, że by tęsknoty płyną z oczu i nawet nie można im tego zabronić. Bo jest i po czym płakać. Załużę każdego niemilego słowa wypowiedzianego przez te cztery dni do Ciebie. Nawet tego „odczep się”, które padły z mych ust dziś rano. Ale to jest bardzo trudno żegnać Cię z uśmiechem, kiedy ma się już świadomość narastającej pustki. To, co jest między nami, jest piękne, ale odczuwam ciągle niedosyt Ciebie. Może jestem zbyt zachłanna? Może szczęście wymaga odrośnięcia na co dzień? A ja tęsknię za stabilizacją i wienawidzę jej. Codzienne kłopoty zabijają w człowieku zdolność regenerowania sił. Moje wrażenie, że znajduję się w jakimś zaułku, z którego nie ma wyjścia. Pomóż mi je znaleźć! Ja.**



Z rodzinnego albumu: zdjęcie z 1905 r. Dr Gollakiewicz (?) z Chelma po mobilizacji wyrusza na Daleki Wschód (wojna rosyjsko-japońska). Ow chłopczyk po prawej stronie to późniejszy założyciel „Kamenu” — Kazimierz Andrzej Jaworski.

W poprzednim numerze „Kamenu” ogłosiliśmy otwarcie Klubu Starej Fotografii. Przypuszczając że nie wszyscy zainteresowani zdążyli się zapoznać z zasadami funkcjonowania Klubu, przypominamy:

Członkiem Klubu może być każdy, kto nadesłane pod adresem redakcji zdjęcia powstałe do 1930 roku włącznie. Będziemy je regularnie zamieszczać na łamach pisma, podając na życzenie właścicieli — notę biograficzną posiadacza, ewentualnie jego adres, co ułatwi kontakty członków Klubu. Jeśli to możliwe, prosimy o podanie nazwiska autora fotografii, a przynajmniej datę jej powstania i opisanie treści przedstawienia. Po wykorzystaniu zapewniamy zwrot zdjęcia. Jeśli działalność Klubu nabierze rozmachu, pomyślimy o bardziej konkretnych formach wzajemnych kontaktów, może o okresowych spotkaniach i almanachu.

Zapraszamy!

nowy inotki

„Laur dla fanatyka” uwila na łamach jednego z pism lubelskich osoba pseudo (JAG). Koncentrując uwagę na działalności pewnego historyka sztuki, mocno zaakcentowała jego miłośnictwo. „Autor... ze wspaniałomyślną hojnością zaopatrzył swoje teksty w przypisy źródłowe bardzo ułatwiające pracę zainteresowanym badaczom”. A nam się wydawało, że „zaopatrywanie tekstów w przypisy źródłowe” przez badacza jest czymś zwyczajnym, obyczajnym, a często nawet obowiązkiem. Jak widać, skłonność panegiryczne niektórych dziennikarzy przynosi efekty tyle humorystyczne, co nieprzewidziane przez sympatycznych akademia autorów takich publikacji.

„Roskosz posługuje się nimi (terminami muzycznymi — przy. aut.) jak pijana małpa żyłkami w dzień odpustny” — zauważa elegancko na łamach „Literatury” Stanisław Zelechowski, „polemizując” w 6 numerze tygodnika z recenzentem „Argumentów”. Cytowany niegdyś w publikacjach „Literatury” kodeks Bożewicza przewiduje za taką litrykę spotkanie na udeptanej ziemi. O ile nam wiadomo, w okolicach „Literatury” sporo jest jeszcze ziemi jałowej, może więc dojdzie do ciekawego spotkania. Mamy nadzieję, że tym razem reguły pojedynku będą w pełni honorowane, także przez pana Zelechowskiego.

Henryk Gawarecki bardzo kocha Lublin, ścisłej — jego historii. My też kochamy. Dlatego zwróciliśmy uwagę na ten fragment z książki „O dawnym Lublinie”, w którym wspomina kawiarnie międzywojennego Lublina, autor informuje, że „u Semadeniego (dzisiejsza „Rezonans”) przyp. red.) zaś przeważali ci, których obecność uwarunkowana była sprawami handlowymi — bywała tam raczej starsza generacja”. A my tymczasem wiemy na pewno, że „u Semadeniego” regularnie spotykały się członkowie związku artystów plastyków, a nawet odbywały się tam posiedzenia zarządu tej organizacji.

Redaktor Janusz Jurkowski z Lublina specjalizuje się w sprawach sensacyjnych i kryminalnych. Jest tropicielem bezwzględny. I tak np. ostatnio (34 numer swej gazety) ogłosił „Sensacje nie tylko dla specjalistów”. Z tekstu artykułu, rozpoczynającego się wielkim tytułem na pierwszej stronie, wynika, że mgr Parfianowicz zdemaskował fałszerstwa rzeźbiarskie na kamienicy Celejowskiej w Kazimierzu, których dopuścił się w dwudziestolecie międzywojennym Jerzy Łopuszański. Autor artykułu uznaje to za sensację dnia i ciepło wyraża się o demaskatorze:

„spojrzał na fotografie (z początku wieku — przyp. red.) elewacji kamienicy Celejowskiej i zaparto mu dech z wrażenia”. W tej sytuacji z prawdziwą przykrością donosimy, że fakt „improvizacji” Łopuszańskiego jest od dość dawna dobrze i nawet szeroko znany. Przy okazji prosimy o informację, czy jednemu z botaników artykułu dech już odpario? **KAM**

„Barwy” (mazowiecki miesięcznik społeczno-kulturalny) nie mogą się zdecydować na całocięty przedruk naszego „Sennika egipskiego”, ale niemal w każdym numerze co celniejsze fragmenty cytują. Skutek jest taki, że z woj. warszawskiego otrzymujemy coraz więcej listów z prośbą o przysyłanie poszczególnych egzemplarzy „Kamenu”. Serdecznie dziękujemy za życzliwość. Te życzliwość, która (cytujemy fragment kolejnego listu nieapostolskiego, zamieszczonego w tychże „Barwach”) zachowując wszelkie pryncypia moralności, ideologii, światopoglądu, czy po prostu prawa, pozwala i każe kształtować stosunek do ludzi na podstawie zaufania do ich umiejętności samooceny, ich zdolności przeprowadzania samokorekty wszędzie tam, gdzie okazuje się to konieczne”. Gaworzenie (w całości) można przeczytać w drugim numerze „Barw”. Później na stronie pierwszej, koniec na stronie trzeciej. Uwaga: strona siódma życzliwa dla samych „Barw” (autor, autor!).

Te same „Barwy” (również czarna barwa) cytują fragment zamieszczonej w „Kamieniu” relacji Al. Gabrusiewicz z szpitala psychiatrycznego i zapytują: „A jeśli dobry Bóg spełni prośbę kolegi Gabrusiewicz i każdy z nas będzie wchodził bez słowa, kładł się nakrywając się kocem po głowę, to kto będzie uważnie czytał „Kamień”? Odpowiedź jest bardzo prosta: koleżdy z redakcji „Barw”. Nast koleżdy, a nie Pana Boga! My tak wysokich koneksji nie mamy! **MAJ**

Cytata z opaski: „Chleb pszenny Graham jest chlebem dla zdrowych i chorych. Jako najlepszy pełnowartościowy chleb, nieodzowny przy chorobach żołądka, przy nienależnym trawieniu — cukrzyca. Idealny środek wzmacniający dla obłożnie chorych, dla anemicznych i słabych dzieci oraz matek karmiących (...). Jako pełnowartościowy, lekkostrawny i pożywny, zalecany jest przez lekarzy, szczególnie przy chorobach kiszek, żołądka i przemiany materii”.

Jak więc można wnosić z powyższego jest Graham najbardziej demokratycznym chlebem w naszym kraju. Jest? Ee, tam! Ni ma go, ni ma! Czasem w którymś ze sklepów śródmieścia grodu nad Bystrycą, no i w sklepie na osiedlu „Motor”, w którym miało miejsce niezwykle wydarzenie: dostaliśmy! Chleb dobry był, za 4 złote kilogram, tylko że do tego trzeba doliczyć koszty przejazdu publicznymi środkami lokomocji. Przy okazji można jednak zwiędzić Tatary. Niech żyje turystyka! **JAS**

Kultura 1975

KONTAKTY

W stolicy ZSRR został podpisany protokół o polsko-radzieckiej współpracy kulturalnej w roku bieżącym. Zapowiada on znaczne rozszerzenie i pogłębienie działalności w tej ważnej dziedzinie współpracy obydwu bratnich narodów. Głównym wydarzeniem okazji staną się kwietniowe „Dni Kultury Radzieckiej” w Polsce. Będą one największą z dotychczasowych tego typu imprez w naszym kraju. W czasie „Dni” wystąpi na terenie Polski 16 znanych zespołów teatralnych, muzycznych, estradowych i ludowych z różnych rejonów ZSRR, jak również wielu wybitnych solistów, łącznie ponad 900 osób.

Krakowski Teatr Stary wybiera się na „Światowy Sezon Teatralny” gdzie zaprezentuje dwa spektakle: „Noc listopadowa” Wyspiańskiego w reżyserii Andrzeja Ważyka i „Dziady” Mickiewicza w reżyserii Konrada Swinarskiego. Obok polskiego zespołu organizator „Sezonu” sir Peter Daubeny zaprosił grupy teatralne z Włoch, Szwecji i Ugandy. „Dziady” będą wystawione w brytyjskiej stolicy w dwu wersjach: krakowskiej i specjalnie przygotowanej, krótszej o 45 minut. Dla 7 londyńskich przedstawień wykonuje się w kraju specjalne dekoracje, przystosowane do warunków inscenizacyjnych katedry Southwark, w której odbędzie się spektakle. Władze kościelne postawiły do dyspozycji twórców: ołtarze, rekwizyty liturgiczne oraz sprzęt techniczny — aparaturę świetlną i dźwiękową a przede wszystkim wielkie organy, których użycie będzie wymagało zmian w kompozycji muzyki towarzyszącej „Dziadom”.

SYTUACJE

Nakładem wydawnictwa „Ogoniok” ukazała się ostatnio obszerna publikacja zbiorowa pt. „Słowo o Szolochowie”. O popularności dzieła autora „Cichego

Donu”, o swych spotkaniach i kontaktach z wielkim pisarzem opowiadała ludzi różnych zawodów i pokoleń. Oto treść jednej z relacji. Sterana życiem starszuka z placem długo krażyła wokół domostwa Szolochowa, nie śmiejąc wejść do środka. Zauważywszy ją wreszcie, pisarz zaprosił babcię do środka. Okazało się, że jakiś drobny miejscowy urzędnik odgradzając swój dom, odgradził również i studnię. Stara kobieta musiała teraz określną drogą chodzić po wodę. Niby drobiazg, ale dla babci był dramatem życiowym. Trzeba było widzieć, jak rozłożyła to Szolochowa. Rozmowa z urzędnikiem miała przebieg ostry. „Coś ty zrobił? Draniem przecież nie jesteś, co?” „Wybacz, Michale Aleksandrowiczu — sumitowałem się urzędnik — zgrzeszyłem, wstydm mi. Słowo ci daję, że ten cholerny plot jeszcze dziś rozwalę...”.

Międzynarodowy Festiwal Filmowy w Delhi wywołał gorące polemiki w gazetach, które miały dużo zastrzeżeń do doboru filmów jak i do celowości tego kosztownego przedsięwzięcia. Niektóre pisma oskarżały organizatorów o sprowadzenie „zachodniej zgnilizny”, niezdrowego erotyzmu i okrucieństwa. Były jednak i inne głosy, twierdzące, że impreza taka jest nie tylko ciekawa lecz i pożyteczna. że Indie powinny być pomostem między kulturą wchodu i zachodu i z roli tej nie powinny rezygnować.

Od wielu lat przy „Teatrze-Laboratorium” działa tzw. „Instytut Aktora” kierowany przez Grotowskiego i Ludwika Flaszena. Instytut zajmował się do niedawna głównie badaniami nowatorskich inscenizacji, nowymi metodami gry aktorskiej. Podczas pobytu „Teatru-Laboratorium” w ubiegłym roku w USA — zrodził się pomysł organizowania staży parateatralnych, w których mogą uczestniczyć wszyscy zainteresowani działaniem; ambicje aktorskie są rzędne. Zespół Jerzego Grotowskiego nie występuje z nowymi premierami (przedstawienie

„Apocalypsis cum figuris” nie schodzi z afisza od ponad 7 lat). Zarzucą mu się, że staje się jeszcze bardziej hermetycznym. Podjęte w br. spotkania twórcze zespołu z publicznością we Wrocławiu, na wspomnianych stażach, przeczca jednak zarzutom elitarności tego rodzaju sztuki. Pierwsze grupy stażowe rozpoczęła zajęła w końcu stycznia br.

Sportowy brydż coraz bardziej przypomina zaczyna operacje bankowe, przeprowadzane w miastach słynących z częstych rabunków. Zgodnie z ustaleniami Międzynarodowej Federacji Brydżowej, obecnie zawodnicy rozdzieleni są specjalnymi ekranami i licytują tak, że nie widzą i nie słyszą swoich partnerów, ani przeciwników. Ostrożności te wprowadzono dla uniemożliwienia dawania sobie sygnałów głosem lub ruchem rąk. Ostatnio pod stolikami, na których odbywa się rozgrywka, umieszcza się dodatkowe przegrodki, uniemożliwiające zawodnikom „licytację” przy użyciu... nog.

NA WARSZTACIE

Stanisław Lem: Przed ok. dwoma miesiącami oddałem do Wydawnictwa Literackiego książkę pt. „Maska”. Zawarte w niej opowiadania były już częściowo drukowane. Obok poważnych i ponurych „Maska” zawiera także opowiadania groteskowo-komiczne i humoreski. Książkę kończy wybór moich dawnych — i dawno zapomnianych — scenariuszy widowisk telewizyjnych, tych, które nie zostały naruszone zębem czasu. Pracuję nad nową serią Wydawnictwa Literackiego, która żartobliwie nazywa się „Stanisław Lem proponuje”, a na którą złożą się wybrane przeze mnie, z moim wstępem, lub postowiem, pozycje literatury fantastycznej i grozy z całego świata; ok. 4 tytułów rocznie. Dwa pierwsze tytuły (w druku) to „Ubił” Daicka oraz „Opowiadania wybrane” Stefana Grabińskiego.

Jerzy Putrament: Najwcześniej, może już w czasie majowych kiermaszy, ukaże się szósty tom cyklu „Pół wieku” zatytułowany „Rapanui”. Tom piąty zostanie opublikowany trochę później. Do „Czytelnika” oddałem obszerną powieść „Akropolis”, oparta na wspomnieniach z pobytu w Grecji w 1947 r. w dniach wojny domowej w tym kraju. Wydawnictwo „Książka i Wiedza” przygotowuje tom nowych nowel „Piaski”. Obecnie piszę powieść współczesną „Sobowtóry”.

Władysław Kozioł, kierownik pracowni witrażownictwa PKZ w Toruniu: Na warsztacie mamy średniowieczne witraże wielu sakralnych obiektów, w tym sakralnych w Gdańsku i

Teżewie. Są to prace interesujące, jednak najpoważniejsza — przed nami. Mamy bowiem oszklnić Zamek Królewski w Warszawie. Obecnie jesteśmy w stadium konsultacji z historykami sztuki, architektami i innymi specjalistami w celu ustalenia stylu witraży. Prace nad nimi podejmemy jeszcze w tym roku.

NOWOŚCI

Nowe wydanie „Potopu” z kolorowymi ilustracjami z filmu, wielobarwne podręczniki dla szkół, kolorowe gazety — takie nowości zapowiada na rok bieżący Zjednoczenie Przemysłu Poligraficznego, dla którego — jak poinformował dyrektor Zjednoczenia J. Kłuczek — ostatni rok obecnej pięcioletki upływie pod znakiem dalszej modernizacji i mechanizacji. W tym roku zostanie zakończona modernizacja i przebudowa 12 zakładów drukarskich ZPP. Największą inwestycją jest Dom Słowa Polskiego w Warszawie, który przekształca się obecnie w jeden z najnowocześniejszych zakładów drukarskich w Europie. Zjednoczenie przeznaczą w tym roku na nowe inwestycje 31 mln złotych dewizowych, zaś nakłady na sprzęt, który wejdzie do produkcji w 1975 r., sięgają 800 mln złotych. Są to więc inwestycje ogromne.

LUBLINIANA

5 lutego 1975 r. sala Filharmonii Lubelskiej wypełniona była do granic maksymalnych wręcz możliwości. Publiczność siedziała i stała wszędzie, gdzie tylko było to możliwe: na widowni, estradzie i balkonie. Podczas 39 lat istnienia Filharmonii nie zdarzyło się coś równie szokującego. Owszem, były tzw. wielkie dni: koncert Orkiestry Kameralnej z Lipska, Orkiestra Symfoniczna z Sofii i Moskwy z Eugeniuszem Mogilewskim, Kwartet Harfowy ze Stanowa Kameralna Radia i Telewizji z Paryża, recital Małcużyńskiego — ten wieczór jednak stał się czymś zjawiskowym. Była to wielka manifestacja entuzjastów muzyki. Na estradę wszedł Świątosław Richter.

Postać i działalność pianisty Świątosława Richtera zyskała sobie w opinii melomanów całego świata, a także większości muzyków, znaną legendę. Każdy występ tego genialnego artysty — bo z pewnością tylko w takim wymiarze znajduje się jego sztuka — porostawia głębokie, niezatarte wrażenie. Jego interpretacja i sposób gry komentowane są z niesłabnącą ekscytacją. Richter ośniewa nad-

naturalną techniką, fenomenalną pamięcią muzyczną, gatunkiem i rozmiarem ekspresji. Jest indywidualnością, która nieustannie zdumiewa wielkością talentu i możliwością wykonawczych. Podczas ostatniej Warszawskiej Jesieni Świątosław Richter, jako akompaniator Dietricha Fischer Dieckau'a, w cyklu pieśń Hugo Wolfa dał pokaz cudownego kameralnego przelotoczenia. Mimo woli dowiódł, ile nieraz tracimy słuchając pieśni wielkich romantyków z udziałem tzw. średniej klasy akompaniatorów.

Na lubelski recital wielkiego artysty złożyły się dzieła Ludwika van Beethovena. Sonaty: C-dur Op. 2 nr 3, Es-dur Op. 7, c-moll Op. 11. Dla wielu melomanów był to z pewnością jeden z najważniejszych wieczorów w ich życiu. Diugotrwała gorąca



Świątosław Richter

owacja była dowodem holdu i wdzieczności za doznane wzruszenia.

Teresa Falger

Wojewódzki Sejmik Wiejskich Zespołów Teatralnych został przeniesiony ze Stoczka do Tarnobrodu. W ciągu trzech dni (7-9 II) w nowoczesnych pomieszczeniach tamtejszego GOK-u wykonawcy-amatorzy prezentowali swe talenty oraz zainteresowania teatralne. Na uwagę zasługuje przedstawienie „Chłopów” Grochowiaka w wykonaniu zespołu z Kurowa, a także udrummatyzowane widowisko obrzędowe „Pradki” w wykonaniu zespołu z Babie. Sejmik miał też zadania szkoleniowe: pod opieką zawodowego aktora i reżysera aranżowali wybrane sceny ze swych przedstawień. Organizatorzy noszą się z zamiarem rozszerzenia imprezy na województwa sąsiednie. Pomysł popieramy. **(F)**

Odpowiedzi redakcji

J. C. Hilgoraj. Opowiadanie stawia pewien postulat moralny i przez to jest godne uwagi. Posiada jednak niewybaczalny błąd: Pan nie opisuje rzeczywistości. Pan swarza schematyczne raczej malaczki postępują jak najdłuższemu wyeksponowaniu pomysłu. Kiedy potrzeba pokazać sceny światopogląd z ubitej epoki, jawia się nieznamy starszy pan, z którym nasz bohater bez żadnych wstępów wchodzi zasądzić do przetrwania się ze stych nawyków współczesności. Kolega aranżuje wódki i spotkanie z paniami nie nadto rycerzowskich obywateli, co — bez psychologicznego uzasadnienia — wzwoluje protest u bohatera raczej nie widząc by kiedy indziej przeciwnego podobnym praktykom. W ten sposób opis idzie no limit najmniejszego oporu, jest nieprzekonywający. W swej niefrasobliwości autor nie zauważa, że „dziewczyna”, z którą bohater przy końcu opowiadania postanawia się ożenić, na początku jest przedstawiona jako matka dwójki dzieci, więc chyba młodziaka.

T. R. Ostrołęka. Mówi Pan, że poza tzw. literaturą faktu utworów literackich nie zawiera postaci autentycznych, co nawet jest powołane terminem „fikcja literacka”. Tak, ale zastanów się o jaki autentyzm chodzi. Nie należy od tego, czy na dworze Radziwiłła był, czy nie był krewki młodzieniec o nazwisku Andrzej Kmielec, postać ta jest całkowicie autentyczna, ponieważ zawiera cechy fizyczne i psychiczne często wówczas spotykane. Autentyzm w sztuce to nie identyczność osób, to twardość i reprezentatywność charakterów, a to w powieści Sienkiewicza Reymonta, Zeromskiego istnieje. Dostajemy to na przykład w postaciach, które nie odwrót. Można napisać powieść oparta na cymś namietniku, ale jeśli będzie to powieść klasyczna, wszystko tam wyda się nieprawdziwe, zmyślone, nieautentyczne. W tym sensie nawet ów literatury faktu może nie być obrazem życia, a raczej obrazem z nim w najdrobniejszych szczegółach.

M. K. Bydgoszcz. Pozostawiłem na uboczu kwestie wartości wiersza. Wartości mierzonych kryteriami redakcyjnymi, krytycznymi, profesjonalnymi. Bo cóż z tego, że wiersz można wydrukować i nie przynieść on dyshonoru redakcji jeśli równocześnie nie przyniesie honoru autorowi. Wolałbym tu — a z doświadczenia wiem, że wręczam głos wielu czytelników — porzyknąć nie pomysłki własne autora. Z nich można wycisnąć z osobistym tonem. Nie znaczy to, że wzywam do oświecenia, ale za wszelką cenę. Ta na osobę bywa tylko „orzeczalnością”. Ale żaden to twórca zamysł, żadna też satysfakcja dla autora — walczyć w konwencie, w modę, w żurnal. Jaka poezja szwie się w tym świecie? A po trochu kontestacji, nieco więcej zaradzonego turpizmu, półdana szokulaca światoburczość, nadzieje też wsku bezczernie nie potraktowany tekst. Po co takie odbiki? Kłósz walczyć z artystyką poetycką? Ci gołowi stali się bardzo uczynni, skoro chodzi o zwłoki. Naprawdę odważyć wzmagać się wiersz o słowku. Proszę nie rozumieć, że są to uwagi wyłącznie pod Pana adresem. Że najbardziej „współczesnie schematyczny” to właśnie Pan. Nie. Ale warto być się na trochę krytycznym w stosunku do konwencji, które osłabioły wydatek się szczytem własnych poszukiwań.

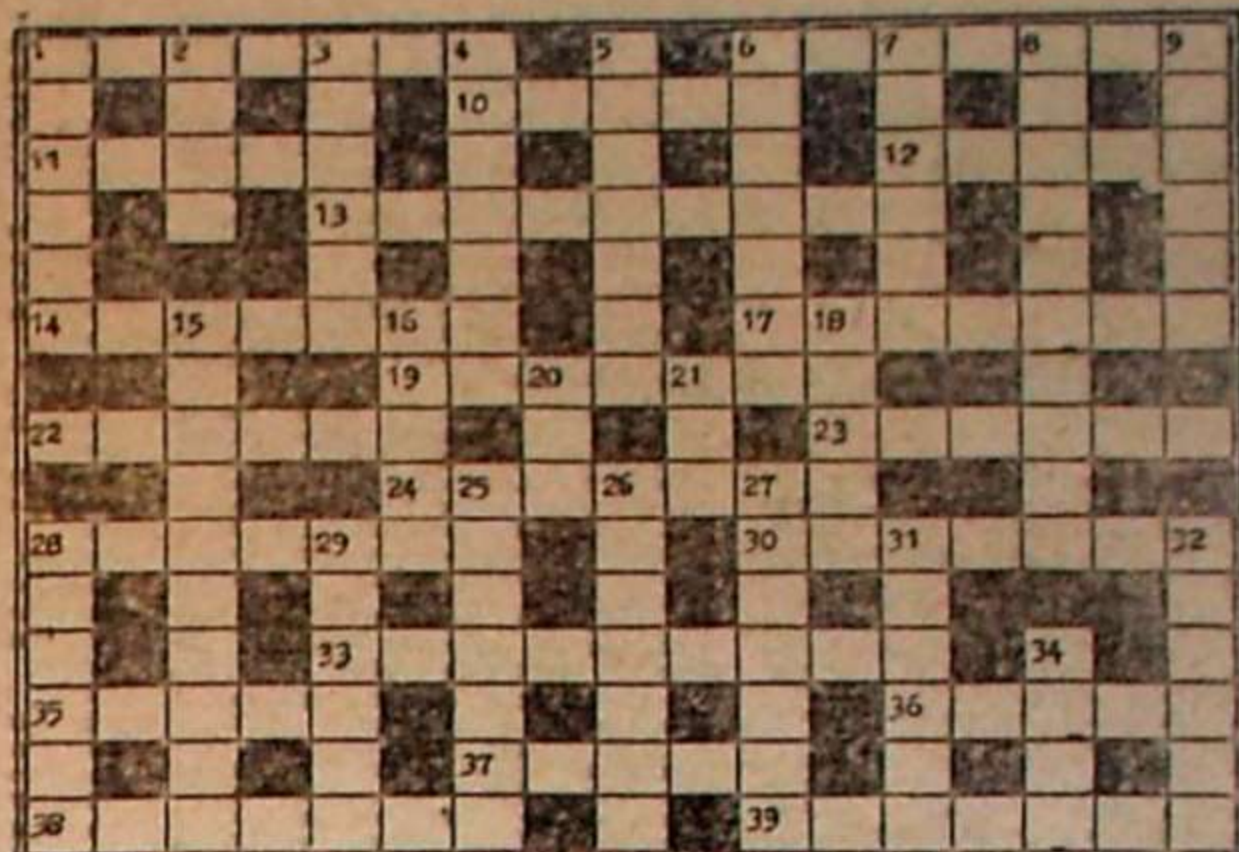
A. M. Lublin. Proszę kilku ponížszych stów nie przyjąć za chęć porzucenia się rozmówcy, za twarząski unik. Wszelko także Pana uwagów wskazuje na to, że przede wszystkim potrzebne jest tu pomysłowanie sobie od początku. Musi Pan sam sobie odpowiedzieć na pytanie co to jest poezja. Na pewno nie jest nią powtarzanie zwrotek, które zaliczają się do zresztą w konwersji tych bare dziełach. Istotnie, nie namawiam do zmiany orientacji, do mechanicznej przetrzaski na „nowoczesność”. Ale też i miniony styl, którego Pan okazuje się być zwolennikiem miał swoje walności, swoje przebrzmienie już swoty, których prologować nie należy. Co nie ma nie współczesność — brzoż Anollinie z lekceważeniem tradycji Jerzyk Paska, Reja, to soczysta, smakowita polszczyzna. Ale czy będziemy się nią podziwiali dziś przed okienkiem pocztowym?

Krzyżówka (nr 4)

Poziomo: 1. miejsce wykładowe, 2. wieczerza, 10. nazwa, 11. powieść Camusa, 12. rola, 13. jeden z wieszczów, 14. mit, podanie, 17. włoski wioślarkowy poemat liryczny, 18. wielkie miasto w Iranie, 22. surowe warzywa lub owoce do młota, 23. gryzoni hodowany na futro, 24. unie tony poety z 13 pionowo, 25. przesyłka pieniężna, 28. drugie co do wielkości miasto Bułgarii, 23 imię znanego kompozytorskiego diosnek zagrywkowych, 25. miasto powiatowe nad Sanem, 26. włoski poeta późnego renesansu, autor „Jeruzolimy wyzwolonej”, 27. miasto nad Notecią, 28. terytorium państw muzułmańskich rządzone przez emirow, 29. środek nasenny lub znieczulający.

Pionowo: 1. popularny w XIX wieku tańiec towarzyski powstały z kontredansa, 2. masa ludzi, 3. steński prawodawca znany z bardzo surowych kar, 4. kłopot, smartwienie, 5. kara wyznania w dawnej Polsce, 6. wyspa narodzin Napoleona, 7. wyspa jednostka wojskowa w starożytnym Rzymie, 8. cel podróży Chryzostoma Bultwicia, 9. stan USA na półwyspie, 10. poeta polski, którego 70-lecie urodzin przypada w tym roku, 16. rzymska bogini lasów, 12. rocznik, 20. jednostka najeżenia oświetlenia powierzchni, 21. półwysp nad Bałtykiem, 23. sole lub estry kwasu azotowego, 26. część świata, 27. nazwa niewiadomej „y”, 28. leśniczówka, w której tworzy 15 pionowo, 29. wschodząca kurtyna, 31. mowa, 32. miasto Ramea i Julii, 24. stolica skandyńska.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 131 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bony książkowe.



Rozwiązaniem szyfrogramu z nr 2 był fragment wiersza Kazimierza Illakowiczówny pt. „Badyle”:

„Głowe nisko, niziutko pochyle,
by popatrzyć, jak się chwycią badyle,
cała w słuch się i w oko zamienię
i twarz blisko do ziemi przylgnę,
aby wiedzieć, o czym śmia na ugorze
tu i ówdzie leżące kamienie”.

Za prawidłowe rozwiązanie szyfrogramu nr 2 cztery bony książkowe po 50 złotych każdy, wylosowali:

Krzysztof Denisuk, 24-131 Klementowice pow. Puławy; Stanisława Janczarek, 25-212 Wilkopol Górną, pow. Kraśnik; Irena Gaspowicz, 53-300 Jelenia Góra, ul. Matejki 112; Stefania Krawiecka, 02-601 Warszawa, ul. Racławicka 4 m. 27.



BRAKI „LUBELSZCZYZNY”

W ciekawej i estetycznie wydanej książce Lesława Gnoty pt. „Lubelszczyzna — dzieje — ludzie krajoznawcy” (Lublin 1974) we fragmencie dotyczącym działalności społeczno-kulturalnej w Zamościu w latach 1918—1929 (str. 179) ujrzałem kilka słów, które pragnę sprostować.

Koło Miłośników Książki istniało w Zamościu w latach 1923—1929. Założył je i prowadził Z. Królikowski. Wśród inicjatorów Kółka warto podkreślić zorganizowanie w r. 1929 w Zamościu ogólnopolskiego Zjazdu Naukowego im. Św. Szymona, którego pionem było sześć cennych publikacji książkowych.

„Teki Zamojskie” wychodziły w r. 1918 pt. „Kronika Powiatu Zamojskiego” jako dwutygodnik, a następnie dekady. Jako „Teki” wychodziły w latach 1919—1921. Wydawcą ich nie był — jak pisze L. Gnot — Józef lecz Zygmunta Pomarański, a redaktorem (której to informacji w książce brak) Stefan Pomarański. Poza tym w książce brak zupełnie informacji o wydawnictwie braci Pomarańskich, które w latach 1918—1921 wydało sto kilkudziesięciu książek i broszur.

„Skromny” (nie wiem czemu o nauzydzonych pisze się zawsze „skromny”) nauzydziciel przyrodę w Panstwowym Gimnazjum Mieskim im. J. Zamojskiego nazwał się Stefan Miller, a nie Jan, jak pisze L. Gnot. Zarządzany przez niego Szkoły Ogólnej Przyrodniczej „Zoo” znalazł pomieszczenie na terenach należących do tego Gimnazjum, zaś jest własnością miasta.

Pominięto w książce działalność drugiego nauzydziciela-społeczniczkę, zmarłego w 1909 r. Michała Plezki, niestrudzonego propagatora Zamojskiej i jego zabytkowej, autorsko-przepracowanej w mieście i szeregu publikowanych przytyków do jego historii.

Warto też było dodać, że w Gimnazjum Mieskim — co prawda krótko — wykładali dwaj ludzie uubitni: Maciej Rataj — późniejszy Marszałek Sejmu RP — i Stanisław Młodziejewicz — uubitny poeta. Nie wspomniano też w książce o zasługach Kazimierza Lewickiego — organizatora szkolnictwa średniego w Zamościu od r. 1916.

dlugoletniego dyrektora Gimnazjum Mieskiego.

W omawianym fragmencie książki L. Gnoty powinny się również znaleźć informacje o innych czasopiśmie wychodzących w tym czasie w Zamościu, jak choćby o dwutygodniku a z czasem tygodniku pt. „Ziemia Zamojska” (którego redakcją wydziała ponadto seria broszur pt. „Biblioteczka Ziemi Zamojskiej”) wychodzącym w latach 1929—1929, czy o tygodniku „Słowo Zamojskie”, ukazującym się w latach 1929—1930.

Za zdrzeniem przeczytałem, że „skromny” rezent Bolesław Lesman, był „nieznany szerzej”, że „dopiero po latach krytycy i znawcy literatury uświadomili i ocenili walory intelektualne i literackie...” twórczości Lesmana. Lesman był przecież członkiem Polskiej Akademii Literatury, do której nie powołano „nie odkrytych i nie ocenionych” pisarzy. Ponadto warto wiedzieć, że właśnie w Zamościu ukazała się w tym czasie monografia twórczości autora „Lebi” napisana przez Adama Szczerbowski, wydana nakładem Kółka Miłośników Książki w r. 1928.

Bohdan Królikowski
Lublin

KACZKA PO POZNAŃSKU

Jako stary „terenowiec”, ciągle w delegacji, mam bogate doświadczenie w sprawach gastronomicznych, wiem gdzie na Lubelszczyźnie można smacznie i obficie zjeść, gdzie za te same pieniądze otrzymam dobrą, a gdzie złą potrawę. Osobiście polecam np. niewielką gospodę GS w Młynkach pod Puławami, specjalizującą się w drobiu i rybach, serwującą wspaniałe barszki z pasteciakiem. Niele można też poznać się w eleganckiej restauracji w Sadurkach. Ale po wyliczeniu jeszcze pięciu-siedmiu miejscowości wartych polecenia ze względu na kuchnię, nie miałbym nic więcej do zwrócenia. Ponadto obawiam się, że między jadłospisami wymienionych lokali nie byłoby większej różnicy. Tymczasem chciałbym poinformować — może np. kierownictwo naszej gastronomicznej jednostki i GS — o tym co i jak polecą restauracje GS „Samopomoc Chłopska” w województwie poznańskim. Proszę posłuchać: w Kórniku oferują krupnik na podrobach i pieczonego indyka, w Króleszynie — golonkę po bawarsku i karpia w śmietanie, w Podstolcach (restauracja czynna do doby) — kaczka po poznańsku, watróbkę po wielkopolsku, szaszłyk po turecku i barszcz z koldyna, w Tarnowie Podgórskim — żurek na płuchach króleszych, królik w sosie myśliwskim. Proszę w tym te niemiłe w kucharz z ok. 50 restauracji prowadzonych przez

GS można otrzymać danie specjalne, gdzie indziej niedostępne. Więc może tak w nas skorzystać z tamtych doświadczeń? O ile wiem, specjalizację zakładów zaczęto już wprowadzać w życie — począwszy od Lublina. Nie zapomnijmy jednak o terenie, uszak Lubelszczyzna to region turystyczny. (Przynajmniej z nazwy).

Józef Kleczko
Puławy

NIEBEZPIECZNE ZABAWY

Niezwykłe uroki posiada targowisko lubelskie przy Al. 1000-lecia. Zaspotrzyc się w nim można na owoce i stare kamagaze, w jaryzynie i odzież, w kwiaty i skoderony, w ceramikę i biustonosze nr 6. Pełna dama handluje również kapisonami i nabojami do karków, nie wiadomo jakiej produkcji. W styczniu byłam świadkiem wypadku, który omal nie skończył się tragedią. Otóż jeden z chłopców, który kupił właśnie „korek”, zaczął rozdzierać jego papierosa wulwie. Nastąpił wybuch, który mocno oparzył dziecku czoło nad oczami. A gdzie tak odzież skoderony są nieco niżej? Zauważyłem też, że również tandetnie wykonane są kapisony, które strzelają dookoła w palcach.

Gość polecam handlarce uważać MO.

Janina Kos
Lublin

KATALOGI I ARTYŚCI

W wywiadzie dla „Sztandaru Ludu” (nr 27) przez Okręgu Lubelskiego ZPAP, A. Kołodziejek, ubośca ze BWA z upomnieniem (albo wcale) publikuje katalogi wystaw plastycznych. Pan przez przemianę jednak przyrzeczy takiego stanu rzeczy. Przypomnę więc że główny cieżar winy ponoszą sami autorzy wystaw, członkowie ZPAP, którzy z reguły niezapłacone dostarczają materiały do tych publikacji, co uniemożliwia ich terminowe wydrukowanie. Przeladowane drukarnie także nie kwapią się z honorowaniem swych kalendarzowych zobowiązań wobec BWA. Jest to niestety, zjawisko ogólnopolskie, związane ze stanem naszej poligrafii.

J. Z.
(nazwisko i adres znane redakcji)

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich.

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Maria Bechcyc-Rudnicka, Jerzy Dostajni (sekretarz redakcji) Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny) Zygmunta Mańkowski, Zygmunta Mikulski (kierownik działu literackiego) — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński, Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego) i Maciej Podgórski, Redaktor techniczny — Irena Komosa korektor — Ewa Dybek.

Cena prenumeraty krajowej: rocznie 10 zł półrocznie 5 zł kwartalnie 2,50 zł. Prenumeraty przyjmowane są do dnia 10 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Prenumerate na kraj dla czytelników indywidualnych przyjmują urzędy pocztowe oraz listonosze. Wszystkie instytucje państwowe i społeczne w miastach zamawiają prenumerate wyłącznie za pośrednictwem oddziałów delegatur RSW „Prasa — Książka — Ruch”. Pozostałe mające siedzibę na wsi lub w innych miejscowościach w których nie ma oddziałów są delegatur zamawiają prenumerate za pośrednictwem urzędów pocztowych.

Prenumerate na zagranicę przyjmują: RSW „Prasa — Książka — Ruch” Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych, Wronia 23 80-340 Warszawa konto PKO 1-6-160994. Cena prenumeraty dla zagranicy jest wyższa od prenumeraty krajowej o 40%. Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. Kierownik działu literackiego przyjmuje interesantów w poniedziałki i środy w godz. 14—16.

Wydawca PSW Prasa — Książka — Ruch Lubelskie Wydawnictwo Prasowe Lublin, ul. Jasna 6. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN Unicka 4. Zam. 366. 7.11.75 E-4

Numer tamat: Mieczysław Psujek, drukował zespół pod kier. Stanisława Wielgosa

Adres redakcji 20-016 Lublin, ul. Narutowicza 35

Nr indeksu 3680/36231

Telefony: sekretariat i naczelny redaktor 255-93, sekretarz redakcji i dział publicystyki 275-35.

Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 131; polecane i ekspresowe — pod adresem redakcji.

Książki nadestane

POEZJA

Jan Sztandyrger — Poezje wybrane, wyboru dokonał i wstępem opatrzył Wojciech Natanson, LSW 1974, wyd. I, nakład 5 000 egz., cena 10 zł; Janina Brzostowska — Poezje wybrane, wybór i wstęp autorki, LSW 1974, wyd. I, nakład 5 000 egz., cena 10 zł; Maria Wolska — Poezje wybrane, wyboru dokonał i wstępem opatrzył Jan Zygmunta Jakubowski, LSW 1974, wyd. I, nakład 5 000 egz., cena 10 zł; Edward Szwedowski — Poezje wybrane, wyboru dokonał i opatrzył Henryk Ładost, LSW 1974, wyd. I, nakład 5 000 egz., cena 10 zł; Aleksander Twardowski — Poezje wybrane, wyboru dokonał i wstępem opatrzył Jerzy Jędrzejewicz, LSW 1974, wyd. I, nakład 5 000 egz., cena 10 zł.



Kandydaci do medali

NIE czeplić się pociągów — nawojuje „Polityka”, objeżdżając nasze PKP. Sądze, że publicyści tego najlepiej w Polsce redagowanego tygodnika (fakt!) mieli by jeszcze więcej krytycznego materiału, gdyby wybrali się na południowy wschód kraju. Wagon, kursująca między Bełżcem a Warszawą, można by z powodzeniem prezentować na Światowej Wystawie Brudów. Aż dziw, że PKP, mające tak wspaniałe ekspozycje, nie wpadły na pomysł zorganizowania takiej wystawy. Złoty medal byłby w kieszeni! Pardon, na piersiach. Sądze, że srebrny medal szlachetnie jury przyznałoby dyrekcji lubelskiego MPK. Autobusy, krążące po mieście według rozkładu „Jak Bóg da”, są tak zakurzone (o bocio nie wspominać, bo łatwo się wykić), że wsiadanie do nich w jasnych płaszczach jest świadomym marnotrawstwem włóknienniczej produkcji państwowej. Podejrzewam, że

MPK ma tajną umowę z Pralniczo-Farbiarską Spółdzielnią Pracy „Te-cza”. Część zysków tej spółdzielni pokrywa zapewne deficyt MPK.

Chociaż... Obstawiam się, że rywalizacja o srebrny medal byłaby okrutna. Mamy przecież również w Lublinie wojewódzkiego dyrektora PKP-ów. Przepadł, jaka dzieli ostatnio wprowadzone do ruchu „Luxy” z autobusami kursującymi między Lublinem a Świdnicą czy Chełmem a Wojsławicami (szczegółowa lista zajęłaby większą część numeru „Kamery”). Jest taka, że biedna przy niej Himalaje.

Ja wiem, że taboru ciągle mamy za mało, ale przecież nasze sklepy są zawałone proszkami i płynami do mycia. Na Lubelszczyźnie prosperują przecież różne zakłady, różne spółdzielnie produkujące z wyjątkiem do czyszczenia. Co się z tymi szczotkami dzieje? Zalegają magazyny? I ile razy w ciągu roku (raz, dwa, trzy???) zmywa się woda szyby okienne? Nawet nie boćne, ale przednie?

Załóżmy więc, że PKP ma medal złoty, MPK — srebrny, a PKS — brązowy (ciągle mam na myśli ową Światową Wystawę Brudów), teraz czas pomyśleć o punktowanych miejscach — czwartym, piątym i szóstym. I tutaj dopiero zaczynają się poważne kłopoty!

Szlachetne jury oprowadziłbym po nie tak dawno przekazanych do użytku wieżowcach przy ul. Hutniczej. Niektóre klatki schodowe ostatnio pomalowano, więc musi nieco czasu upłynąć (mam nadzieję, że niewiele) zanim wroca one do poprzedniego stanu, ale windy nadal

moga przecież pretendować do nagród. Niejeden z „podróżnych” uważa za punkt honoru podpisać się na drewnianej ścianie, lub wyrzeźbić szczyrykiem swoje intencje. Ba — są i tacy, którzy „na pamiątkę” zabierają ze sobą lustro lub żarówkę (np. w bloku oznaczonym nr 20). Aż dziw ogarnia człowieka, że nie wyszabrowali całej windy. Można by z niej przecież zrobić klatkę na kury, albo mały chlewik na prosiaka...

Sądze, że czytelnicy „Kamery”, gdyby im się tylko chciało, przygotowałiby gigantyczną listę brudów i brudasów. Obok Światowej Wystawy można by zorganizować wystawę na niższym szczeblu — krajowe, wojewódzkie, powiatowe, gminne, ba — osiedlowe czy schodoklatkowe nawet. Przy specjalnych eliminacjach zatrudniliby się tysiące ludzi, fachowców na skale europejską co najmniej. Inicjatywa godziłaby inicjatywę. Co stoi na przeszkodzie, aby np. urządzać konkurs na... najbrudniejszy śmietnik? Widzę nawet kandydata: śmietnik przy ulicy Pana Wołodyjowskiego, gdzie pojemniki stoja puste, a różne odpadki klebia się wokół i w razie deszczu mokną, bo supernowoczesny dach przypomina sito...

Mamy różne Dni... Mnie się jednak marzy Stulecie, no... Dziesięciolecie Czystości. Co? Pomarzyć nie wolno?

MAJ



Kobra straciła jad

TELEWIZJA to nie instytucja o charakterze samarytańskim. To przedsiębiorstwo o skali więcej niż pokazowej, to aglomeracja wielu rodzajów działania, to wreszcie wytwórnia najdroższego produktu ze wszystkich dostarczanych przez środki masowego i nie masowego przekazu. Wic jest czego wymagać.

Tu mała dygresja natury osobistej. Przeczytałem w życiu wszystkiego dwa kryminały, a jeśli do tego gatunku zaliczyć „Strachy w Biesalu” Jerzego Putramenta, to trzy. Niemniej gustuję w tej literaturze, a zaległości postanowiłem odrobić. Myślałem, że mi w tym pomoże telewizyjna „Kobra”. Nie pomogła. Dlatego proszę TV o książkę skarg i zażaleń.

Może wstyd się przyznać, a może inni przez snobizm milczą, ale ja „Kobry” nie rozumiem. Nigdy nie mogę pochwyć w czym rzecz. Wycisam rodzinę, wlepiam się w ekran okiem i uchem, by po paru sekwencjach stwierdzić, że nie wiem, kto, co, kogo, czego, komu, czemu i po kiego diabła. Materiał sceniczny nie daje mi danych dla orientacji co się w ogóle dzieje. Ze tam upadł jakiś trup? Ze tam ktoś cichaczem się przemknął? No dobrze,

ale chciałbym — nie znając rozwiązania za wcześniej — towarzyszyć akcji już w czasie jej trwania, gromadząc sobie pewne dane do własnych supozycji. Tymczasem nie z tego. Nie mam, nie łączę, nie wiem. Bo realizatorzy „Kobry” ową niejasność, która ma dotyczyć koncowego wniosku, przenoszą na samą narrację, na tekst. Skutkiem tego nie tylko nie wiem, jak mam sobie wytłumaczyć to, co widzę, ale nie wiem w ogóle, co widzę. Z pewnością w ich języku to się nazywa uatrakcyjnieniem, uniknięciem — zabójczą przecież w widoku sensacyjnym — łopatologii. Ale widocznie nie zdają sobie sprawy, że ową „intrygującą” niejasność przeciągają aż tam, gdzie staje się ona niejasnością bez przymiotnika. Dopiero końcowe przemówienie inspektora wyjaśnia mi nie tylko kto zabił, ale w ogóle co widziałem. Inspektor w tej scenie nie jest postacią sceniczną. Jest czynną w rodzaju autora tłumaczącego mi sens sztuki.

Panowie od „Kobry”! Przecież nie możecie wymagać ode mnie, bym orientację o przebiegu akcji w danej sekwencji uziębinał od zapamiętania jednego z kłopotliwych, w dodatku angielskich, nazwisk, które padło tam tam sekwencji wcześniej. Kiedy czytam kryminał w kabinie, można tego ode mnie wymagać. Mam tekst, mogę do niego wracać. Tu nie. Tu już wypadło jedno ogniwo, a nie mogą sobie uzupełnić następnymi, bo następne są tak samo niejasne, to znaczy „atrakcyjnie” zreleatywizowane niejasnym kontekstem. W sumie — zamiast rozrywki mam tureckie kazanie.

A jakże często po prostu nie słyszę głosów. Słyszę jakieś dudnienie, jakiś beczkowy pogłos, jakieś studienne echo. I nie pomoże manipulowanie guziczkami. Nie znam się na sprawach technicznych, ale jeśli w warunkach pełnego planu scenicznego nie da się osiągnąć wyraźnej

emisji, to bardzo przepraszam, ale proszę o usunięcie głosu aktorów i zastąpienie ich głosem lektora. Niech już lepiej „Kobra” idzie jak zagraniczny film. Wtedy przy najmniej danych orientacyjnych nie utracę dodatkowo przez usterki techniczne — skoro w widoku sensacyjnym każdy szczegół gra tak kolosalną rolę. Czy prowadzona na bieżąco kontrola programu TV tego nie chwyci? Nikt reklamacji nie zgłosił? Jestem jedyny, który to zauważył?

Piszę o tym dlatego, że teatr sensacji uważam za bardzo istotną część programu telewizyjnego. Informacja jest w nim reprezentowana w wysmarczającym rozmiarze. To samo publicystyka, to samo serwis popularno-naukowy. Natomiast widać mało rozrywki. Za mało, bo za rozrywkę nie może uznać natchalnie wypchaną iuf w uszy damskiej wokalistki w wykonaniu faktora (o brzydki dzień odirwanego nowego odeutu. Kryminał jest doskonałą zabawą, doskonałą arą w zedywanek, rebusiem nie przynależącym ufnym najambitniejszym kryteriom i gustom. Ale — niestety — i w tej produkcji ubocznej może być szmita. Tragiczne wykonanie Irkidej komedyjki, Kobra na początku projekcji puszcza perskie oko. Powinna plakać.

Mówię o tym również dlatego, że telewizja przyzwyczaja mnie do dobrych „Kobry”. Kiedyś można było zabudować sobie sympatyczny dreszczyk oirzupający ze zdenerwowania w kolejkach, trólebusach, poczekalniach. Dalszysza Kobra to soliter nudy. Bo diagnozuję się przez wszystkie sekwencje po tej dezorientującej, a ta następuje bardzo wcześniej. Oczywiście — w najlepszym przypadku. Bo najczęściej to po zdenerwowaniu dnia zdenerwowanie klepskim programem. Kryminał, który powinien się znaleźć pod kluczem.

Ijon

Sennik egipski

- 29 -

- Poczęstunek — zawarcie nowej znajomości
- Począ — będą ludy z daleka
- Początkowa — przelotna miłość
- Pociąg — podróż, lub gość dawno nie widziany
- Pocieczny oznac — pomoc w porzecz
- Poczekalnia — cierpliwość twoja wymawiona będzie na próbę
- Poczwarka — niespodziewane zyski
- Podarunek dawac — zguba, lub kradzież
- Podarunek otrzymac — spotka cie niewdzięczność
- Podeszwa caia — wytrwałość w pinowaniu swoich interesow
- Podeszwa podarta — przeciwności losu, czasem choro
- Podpadać — ciekawość zostanie ukarana
- Podawać — szczęście, powodzenie
- Poduk konia — bliska podróż
- Pomiewac kwiaty — dasz dobry przykład z siebie
- Ponioga czysia — dobra opinia
- Podioga brudna — przykrosci z powodu zlej opinii
- Pouucierem być — zarozumialoscia odstraszasz ludzi
- Pouroz — radosne wydarzenie
- Podroz w towarzyswie — plotki
- Poupis saladac — odpowiedzialna praca
- Podporki stawiac — poprawisz stan twych interesow
- Pouwiczorek — spokojne życie
- Pouwoda — przymusowy obowiazek
- Podszewka nowa — okazek dobre serce
- Podszewka stara — upadek moralny
- Poduszka — przyjaciel w zlych i dobrych godzinach
- Pouusza pouaria — dolegliwosc, wyrzuty sumienia
- Podwiazka — przemocia miusne
- Podworze przestronne, czyste — Korzyści z gospodarstwa
- Pouworze male, brudne — upadek gospodarstwa
- Podziemna — ponure, niemile sprawy, procesy
- Poemat wyglaszac — duzo slow, malo czynow
- Poeta — nierealne życie
- Poeze czytac — upiękkszysz sobie życie
- Pogowowie — wypadek, choroba
- Pogon widziec — szczęście w nieszczęściu
- Pogardzanym być — smutek z powodu niewdzięczności
- Pogrzeb widziec — zawiedzione nadzieje
- Pogrzeb własny — popelnisz niedorzeczność
- Poic zwierzeta — musisz wladac w swoje sprawy
- Pojednanie — spotka cie zadowolenie
- Pojedynek — kłotnia w maizestwie lub z przyjacielami
- Pokoj ladny — dobre, porzadne życie
- Pokoj w nieladzie — wypaczone zasady
- Pokalczyc się — odwiedziny krewnych
- Pokiony bic — ponizenie własnej godności
- Pokrywa — zlosliwe języki ludzkie
- Pokrywka — ukrycie zlych uczynkow
- Pole orać, kopac — dobra wroźba
- Pole odlogiem lezac — przez lenistwo strata
- Pole spustoszone — niedostatek
- Pole piekne, zielone — duze mozliwosci, nadzieje
- Poległych widziec — dowiesz się o cudzych niepowodzeniach
- Policzek rumiany — zdrowie i zadowolenie
- Policzek wymierzc — przyjazn osoby obcej
- Policzek otrzymac — duze nieprzyjemności
- Politechnika — duzo projektow
- Politurowac — naprawisz zlo przez siebie wyrzadzono
- Polonca prowadzic — mila praca bez zyskow
- Polowanie — zyski
- Polowanie na ptaki — chwytliwosc w interesach
- Polomac cos — niechacący zerwiesz przyjazn
- Poloznica być — pomyslnosc w zalatwianiu róznych spraw
- Poloznic widziec — niesnaski rodzinne
- Polknać cos — nie zwrócisz uwagi na obelge
- Polkiszyc — przystość majątku
- Polmisk — niedostatek
- Polmisk napelniony — zadowolenie, korzyści materialne
- Polmisk rozbity — zerwanie przyjazni
- Pomarańcze — tesknota
- Pomarańcze zrywac — zyski
- Pomarańcze obierac — niemoralne przygody
- Pomarańcze dzielic — rozkosze domowego ogniska
- Pomnik na cmentarzu — długotrwałe smutki
- Pomnik na placu — spelnisz dobry, trwały czyn
- Pomnik własny — głupota twoja bez granic
- Pomidory sadzic — duze nadzieje
- Pomidory zbierac — pomyslnosc w interesach
- Pomidory jeść — zawód

Dalszy ciąg nastąpi

KOCI PAZUR

Ziemowit Samożyciek

W dalszym ciągu — mimo że sprawę uznaliśmy za skończoną — nadchodzą do redakcji listy na temat „Smaku miłości i lez”. Okazuje się, że teraz zaczyna plakać część naszych czytelników. „Dlaczego tak nagłe zakończyliście druk powieści? Dlaczego Mariusz musiał zginąć? Dlaczego, dlaczego, dlaczego?” Odpowiadamy: autorke cała zabawa po prostu znudziła, a do pisania nikogo zmusić nie można. Na lzy jesteście jednak bardzo czuli. „Umari król, niech żyje król.” Od dziesiątego numeru rozpoczynamy druk nowej powieści pióra Ziemowita Samożycieka (Samożycy?) pt. „Koci pazur”. Wyjaślamy na wstępie: akcja toczy się (stłownie) w wojewódzkim mieście średniej wielkości. Jeżeli czytelnicy w trakcie lektury będą do miasta i dziejące się w nim wydarzenia utożsamiać z Lublinem — ich sprawa. W każdym razie żadne nazwisko nie jest autentyczne. Za ewentualne skłócenia autor i redakcja nie biorą odpowiedzialności. Powieść może w pewnej mierze przypominać „Matysiaków”; wszystko, o czym mowa, dzieje się wczoraj i dzisiaj. Samo życie. Przyjemnej (i wytrwałej) lektury!

(1)

- Kochasz?
- Kocham, Kocham, Kocham!
- Wszystkim mówisz to samo...
- Słowo dalej, że nie.
- Honoru?
- Nie, honoru...
- Jesteś brzydki! Ja nigdy, Michał, nie wiem, kiedy mówisz poważnie. Pocałuj mnie jeszcze raz, ale tak mocno, mocno... Mirka prosi.
- Siedzieli na ławce w Ogródku. Tak nazywana park. Po ciepłym styczniu luty zaczął intogiem. Nie czuli jednak mrozu, który teraz, waleczorem, atakował coraz silniej.
- O czym myślisz? — Dziewczyna odsunęła się nieco.
- Niby miałeś całować, ale jesteś gdzieś daleko. Masz kłopoty w pracy czy w domu?

— Ale jesteś gaduła! Wcale się nie dziwię, że studiujesz prawo. Prokurator Kulka będzie miał z ciebie pociechę!

— Nie lubię oskarżać. Wolalabym już bronić, a najlepiej to sądzić.

— Ciekawo, ile był wlepiła Ojcu Chrześtnemu?

— Staremu czy młodemu?

Rozemial się. Pół godziny temu wyszli właśnie z kina. Obok nich usadowiła się para nastolatków. Ona była bardzo rzeczowa: „Ty, popatrz, ile oni musieli zużyć czerwonej farby!” On: „Umyją się. Za ten film biorą przecież ciężkie pieniądze. Cholerna pieniądze”. Ona: „Ale te cmentarze amerykańskie jakies ubogie. Ciasto tam i zieleni nie ma”. On: „I tak nie będziesz na nich leżeć. Co się wzruszasz?” Ona: „Tak ją maż lat, że powinna być wdzięczna bratu, że go sprzątnął. Takiego męża to ja bym sama własnymi rękami zadusiła!” On: „Ale forsę miał. Chciałabyś mieszkać w takich apartamentach”. Ona: „Mówi się a parta mentach”. On: „Nie będziesz mnie poprawiać. Za młoda jesteś!”. Głos z boku: „Cicho do diabła, kupcie sobie Doroszewskiego!”

— Staremu — Mirka sama sobie odpowiedziała na pytanie — dalabym dożywocie, a młodemu... Młodemu nic bym nie dała, bo mi się wyjątkowo podoba.

— Wobec tego ja wolę się tobie nie podobać.

— Guptasie...

Znow przitulili się do niego. Przymknęła oczy. Pomyślała, że zna go przecież tak krótko, miesiąc zaledwie, a już tak bardzo zdążyła się do niego przyzwyczaić. Wczoraj, kiedy nie doszło do spotkania, chodziła jak mucha w mazi. Chciała, aby ten dzień minął jak najszybciej. Odmówiła Wojtkowi, kiedy chciał ją zaciągnąć do MPK na kawę. Ten nie rezygnował z załotów, ale rozmowa z nim wcale jej nie baowała. Nie cierpiała zresztą nadskakiwaczy, takich, co gotowi kurz spod nóg usuwać. A w ogóle nie lubiła kolegów ze studiów. Byli po prostu nudni.

Michał dyskretnie spojrział na zegarek, ale nie tak dyskretnie, aby tego nie zauważyła.

— Spieszysz się? Boisz się, że żona zrobi ci awanturę?

— Daj spokój, mam jeszcze trochę roboty. Zalegam z artykułem do Gazety. Chcę się zająć naszym teatrem. Ciągle stan tymczasowości, czekanie na Godota...

— Co? Wystawiając tę sukę?

— W przeróbce pod roboczym tytułem „Czekając na dyrektora”. Komedia w kilku aktach w rodzaju „Nikt nie wie wie”.

— Wyobrażam sobie, że będzie miała kolosalne powodzenie, nawet pierwszy rząd będzie, jak nigdy, zajęty. A co z twoją powieścią?

— Dziewczyno, kiedy ja mam na to czas. Idzie mi opornie.

— Musimy razem pisać powieści. Ja ci będę wymyślał fabułę, a ty jej nadasz artystyczny kształt. Zrobię to zupełnie społecznie. Z miłości... Ale ale, chodźmy już, chłód ciągnie po nogach. Jeszcze się przeziebisz i nawet nie będę cię mogła pielęgnować. Zresztą nie zginięsz, Masz o piekę — dodata, szczególnie akcentując ostatnie słowo.

— Znowu zaczynasz? Niczego przecież przed tobą nie ukrywałem, ani nie ukrywam.

— No dobrze, już dobrze. Nie chciałam cię urazić. Zadzwoń do mnie jutro, jeśli znajdziesz chwilkę czasu. Taksówkę udało im się złapać bez trudu. Kierowca był bardzo rozmowny:

— No i patrzcie państwo, już myślałmy, że zimy w tym roku nie będzie, a tu dopiero zawiąło! W naturze wszystko się teraz pokręciło. Dobrze, że ulice czyste, ale w niedzielę tyle soli posypali, że człowieka zślaz trafiał. Czy oni w tym MPO nie wiedzą, że opony się zniszczą? Czasem szkoda, że mamy tę Wieliczkę, no nie? Mirka mieszkała na innym końcu miasta. Wysiadł z nią na moment, pocałowała go w policzek.

— Ładna ta pana dziewczyna! Nasze miasto słynie zresztą z tego wspania, jest w czym wybierać. Panie, ale czasu nie ma. Siadaj za tą kierownicą i cały dzień kręć się w tę i nazad. A najbardziej to nie lubię jeździć do tej pana dzielnicy — Piaskowe Wzgórze... Tam się jedzie z gościem, a wraca przeważnie samemu. Co to dla mnie za interes? Już czasem myślę, czy nie pójść gdzieś na państwową posadę? Odbębniisz swoje i robisz, co chcesz.

Michał nie podtrzymywał rozmowy. Niepokoił się, jak powita go żona.

Zastal ją w kuchni. Czytała właśnie wydano „Wszystkie nasze ciemne sprawy” Urbana. Była tak pochłonięta lekturą, że ledwo podniosła głowę znad książki.

— W lodówce masz zjadłe mleko, przyrzuć sobie kartofla. Jestem bardzo zmęczona. Kupiłeś pomarańcze?

— Przecież nie wracam z Warszawy...

— To dlaczego tak późno? Już po jedenastej.

— Wiessz przecież, jak u nas z taksówkami.

— Zawsze znajdziesz wiodówkę. A kiedy wybierzesz się z mną na kabaret „Diabeł”? Prasa tak chwali...

— Jak chwali to podejrzane...

— Nie przegadam ciebie. Przeczytał lepiej Urbana. Nawet jeśli on zmyśla, to zmyśla genialnie, lepiej od ciebie. Ale, ale... Zapomniałam. Otrzymałam dzisiaj dziwny telefon.

— Kto dzwonił?

(kon.)